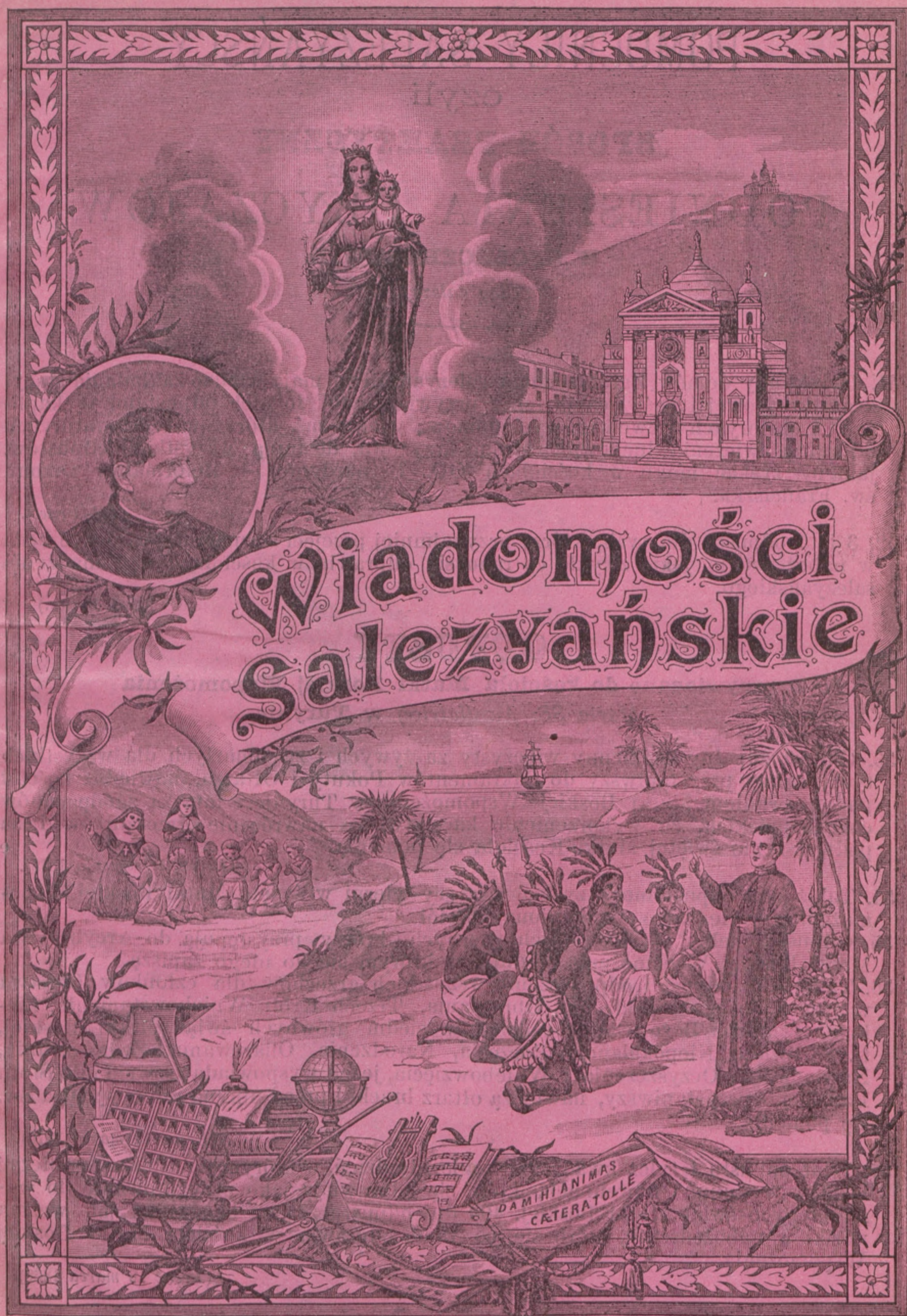
N. 12. Rocznik VI. Grudzień 1902.



Turyn — Drukarnia Salezyańska — Turyn.

POMOCNICY SALEZYAŃSCY
czyli
SPOSÓB PRAKTYCZNY
PODNIESIENIA OBYCZAJÓW
W SPOŁECZEŃSTWIE.

(Ciąg dalszy).

51. Dyrektorzy domów Zgromadzenia salezyańskiego mają władzę zakładania stacyi drogi krzyżowej i poświęcania ich z przywiązanymi do nich odpustami w kaplicach i oratoryach wewnątrz swych domów; wierni zaś, którzy w tych oratoryach odprawią ćwiczenia duchowne i drogę krzyżową, dostąpią wszystkich odpustów, jakieby zyskać mogli w kościołach OO. Bernardynów i Reformatów zakonu św. Franciszka.

(*Toż Brewe*).

52. 3 lata odpustu dla tych, którzy przynajmniej przejęci skruchą uczestniczyć będą w nabożeństwie, jakie zwykle co rano się odprawia w kościołach Zgromadzenia salezyańskiego.

(*Toż Brewe.*)

ODPUSTY
przywiązane do kościoła Matki Boskiej Wspomożenia
(*Maria SS. Ausiliatrice*) w Turynie.

53. Odpust zupełny codzienny wieczysty za żywych i za umarłych dla wszystkich tych, którzy przystąpiwszy do Sakramentów Pokuty i Ołtarza, nawiedzą kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Wspomożenia w Turynie i tam za zgodę panów chrześcijańskich, za wykorzenienie kacerstw, za nawrócenie grzeszników i za podwyższenie świętej Matki Kościoła się pomodlą.

(*Brewe* 29 *stycznia* 1875).

54. Takiż sam odpust mogą zyskać wszyscy wierni w święto Matki Boskiej Wspomożenia, nawiedzając wspomniony kościół.
55. Odpust zupełny dla wszystkich wiernych, którzy przystępują do Arcybractwa Matki Boskiej Wspomożenia w dniu, w którym się do niego zapiszą.
56. Takiż sam odpust i odpuszczenie wszystkich grzechów dla członków Bractwa w święto Bożego Narodzenia, Obrzezania, Trzech Króli, Wniebowstąpienia, Zielone Świątki i Boże Ciało; tudzież w siedm głównych świąt Matki Boskiej, tj. w święto Niepokalanego Poczęcia, Narodzenia, Ofiarowania, Zwiastowania, Nawiedzenia, Oczyszczenia i Wniebowzięcia, jeżeli wyspowiadawszy się i do Stołu Pańskiego przystąpiwszy, nawiedzą ołtarz bracki i przed nim na intencyę Ojca Św. się pomodlą.

(*Brewe* 11 *marca* 1870).

57. 7 lat odpustu i tyleż kwadragen na każdy dzień, w którym pobożni uczestniczyć będą w tryduum i nowennach, które się odprawiają jako przygotowanie do wymienionych świąt Matki Boskiej. 400 dni odpustu zaś na każdy raz jak wezmą udział w nabożeństwie, które się co rano odprawia w kościele Matki Boskiej Wspomożenia.

(*Brewe* 16 *marca* 1869).




WIADOMOŚCI SALEZYAŃSKIE

Wychodzą w językach: *włoskim, francuskim, hiszpańskim, angielskim, niemieckim i polskim*
Pomocnikom salezyańskim posyłają się **bezpłatnie.**— *Adres:* TURYN, Via Cottolengo 32, ITALIA.

A ktoby przyjął jedno dzieciątko takowe w imię moje, mnie przyjmuje. (MAT. XVIII, 5)

Polecam wam szczególnie dziatwę i młodzież; starajcie się usilnie wychować ją po chrześcijańsku; dawajcie im do rąk takie tylko książki, które uczą jak unikać grzechu, a natomiast pełnić cnotę. (Papież PIUS IX.)

Wytężajcie wszystkie wasze siły i wasze zdolności na to, aby dziatwę i młodzież ustrzedz przed sidłami zepsucia i niedowiarstwa i przygotować w ten sposób nowe pokolenie. (Ojciec Św. LEON XIII.)

ROCZNIK VI. Nr. 12. **Wychodzą co miesiąc.** **GRUDZIEŃ 1902**

OREMUS PRO PONTIFICE NOSTRO LEONE XIII.

Dominus conservet eum et vivificet eum et beatum faciat eum in terris et non tradat eum in animam inimicorum eius.

MÓDLMY SIĘ ZA PAPIEŻA NASZEGO LEONA XIII.

Niech go Bóg zachowuje, wzmacnia go, niech go uczyni błogosławionym na ziemi i niech go nie podaje w moc nieprzyjaciół jego.

TREŚĆ:

Do Przezacnych Czytelników.

Ta wzajemność uczuć, której wyjątkowe objawy wywołuje coroczne nadejście świąt Bożego Narodzenia, jest bezwątpienia najwyraźniejszą, najszczerszą i najzrozumialszą między członkami rodzin. A ponieważ jedność zadania, jedność hasła, pracy i uczuć tworzy ze Zgromadzenia Salezyańskiego i ze związku Pomocników Salezyańskich jedną wielką rodzinę, przeto z okazyi nadchodzącego Bożego Narodzenia

Ks. Michał Rua

i wszyscy Salezyanie zasyłają Przezacnym Pomocnikom i Czcigodnym Pomocnicom Salezyańskim szczere życzenia Błogosławieństwa Bożego.

Ale nie tylko Salezyanie wyrażają Wam te uczucia. Wspomnijcie, Przezacni Czytelnicy, na tę liczną młodzież, na te sieroty zakładów salezyańskich. Jeżeli ta młodzież w dzień Bożego Narodzenia czuje się szczęśliwą w zakładzie, to dlatego że znalazła w Was ojców i matki, z którymi łamie opłatek wilijny. Odbiera od Was opłatek jałmużny i uczucia rodzicielskiego a zwraca Wam opłatek modlitwy, wdzięczności, synowskiego przywiązania. Ta młodzież śle Wam życzenia swych serc wdzięcznych, młodych, gorących, i nie zapomni o Was przy Komunii św., do jakiej z przywileju Stolicy Apostolskiej przystąpi w nocy Bożego Narodzenia.

Ksiądz Bosko a Wychowanie.

CZĘŚĆ DRUGA.

Wykształcenie religijne i moralne.

(*Ciąg dalszy*).

VIII.

Stowarzyszenia pobożne.

Stowarzyszenia pobożne mają w domach ks. Bosko byt urzędowy, a są powierzone gorliwości katechety czyli przewodnika duchownego. Art. 12, rozdz. III. *Ustaw zakładów salezyańskich* opiewa: „Katecheta zaprowadzi stowarzyszenia św. Alojzego Gonzagi, Przenajświętszego Sakramentu, małego kleru i Niepokalanego Poczęcia. W razie potrzeby wezwie do miewania konferencyi jakiego kapłana lub starszego kleryka.“ W rozdziale zaś o powinnościach katechety rzemieślników czytamy: „Zaprowadzi między terminatorami bractwo św. Józefa i t. d.“

Poświęćmy słówko potrzebie różnych stowarzyszeń, ich działalności i uświęcającym skutkom.



Ks. Bosko był za nadto oświecony, by sobie nie zdawać sprawy z ważności i moralnej potrzeby Stowarzyszeń pobożnych w domach wychowawczych. Wiedział, że one są podporą wolności religijnej, że niweczą względy ludzkie i że odpowiadają najgłębszym pragnieniom duszy, obdarzonej chrztem św. a łaską wzbogaconej.

Każdy chrześcijański dom wychowawczy posiada pewną liczbę ćwiczeń religijnych, do których wszyscy są obowiązani; każdy wstępujący do tego domu poddaje się obowiązkowi zastosowania się do nich. Przeciwnie stowarzyszenia pobożne nie narzucają nikomu swego regulaminu, zostawiają każdemu do woli używanie korzyści z niego płynących; wymagają ochotników. Chęć wpisania się zależy zupełnie i jedynie od chłopca podającego prośbę o przyjęcie, który nie poprzestając na ćwiczeniach wszystkim ustawą domową nakazanych, pragnie nadto uczynić coś więcej. Otóż częstokroć wychowawcy nie dość się zastanawiają nad tem, jak ważną jest rzeczą swoboda religijna * i że wolność stanowi właśnie istotę chrześcijaństwa.

„Nauczycielu dobry, rzekł niegdyś młodzian do Zbawiciela, co dobrego mam czynić, abym miał żywot wieczny?“ Pan Jezus odpowiedział: „Jeśli chcesz wnijść do żywota, chowaj przykazania.“ Poczem Boski Zbawiciel wymienił główne przykazania prawa Bożego. Na to rzekł mu młodzieniec: „Wszystkiegom tego strzegł od młodości mojej: czegóż mi jeszcze nie dostawa?“ Pan Jezus odpowiedział: „*Jeśli chcesz być* doskonałym, idź, przedaj co masz, i daj ubogim a będziesz miał skarb w niebie.“ ** Boski więc Mistrz nie wkłada gwałtem na nikogo ani przepisów ani rad swoich, odwołuje się do wolności: „*Jeśli chcesz.*“ A odzywając się do rzeszy powiada: „Jeśli kto chce za mną iść, niech zaprze się samego siebie a weźmie krzyż swój na każdy dzień i niech idzie za mną.“ *** Zresztą zdrowa filozofia, oparta na doświadczeniu, uczy nas, że wolność ludzka to niezdobyta twierdza; o tyle tylko do niej wejść można, o ile dobrowolnie się poddaje. Człowiek szturmuje do wolnej woli człowieka, ale zmusić jej nie zdoła i Bóg sam jej zmuszać nie chce, bo ten gwałt równałby się jej zniszczeniu. Nic więc dziwnego, że Pan Jezus tak się odzywa: „Jeśli chcesz, pójdź; jeśli mi chcesz być posłuszny bądź posłuszny, ale zmuszać cię nie będę.“

Stowarzyszenia pobożne są podporą wolności religijnej i pod tym względem, że niweczą wzgląd ludzki. Bo kogóż to widzimy w tych stowarzyszeniach? Zawsze uczniów najcnotliwszych, najpilniejszych, najwierniejszych obowiązkom swoim a często najzdol

* Zob. Ksiądz Bosko a wychowanie, część rozdz. 5, *Wiadomości salezyańskie*, 1902 r., nr. str. 153.

** Mat. XIX, 17-21.

*** Łuk. IX, 23.

niejszych. Uczczona zatem jest pobożność, bo członkowie się jej nie wstydzą, owszem poważają ją, cenią ją i za nią się ubiegają.

Około trzydieści lat temu znaleziono różaniec na dziedzińcu pewnej szkoły politechnicznej. Powstały śmiechy, szyderstwa i krzyki: „Czyj to różaniec? Czyj różaniec?“ Na to jeden podnosi rękę i woła: „Mój, mój różaniec! Dziękuję.“ Otóż przyznający się do różańca uczeń otrzymywał zawsze najświetniejszą promocyę. Na ustach towarzyszy zamarły szerdercze śmiechy i pokonano wzgląd ludzki. Czy nie dzieje się to samo w domach wychowawczych? Gdzie prezesem stowarzyszenia Niepokalanego Poczęcia jest najlepszy uczeń zakładu; gdzie temu prezesowi służy wybitny przywilej zdobienia ołtarza Przeczystej Dziewicy i noszenia Jej chorągwi na procesyach; gdzie co niedziela a nawet i częściej widzi się członków towarzystwa Najśw. Sakramentu przystępujących do Komunii św.; gdzie zaszczyt należenia do stowarzyszenia małego kleru albo św. Alojzego jest upragnionym ideałem młodych, tylko co wstępujących do zakładu uczni — tam, bądźmy my o tem pewni, Pan Jezus jest Królem szkoły, Najśw. Panienka jej Patronką, tam straszny potwór względów ludzkich nie ma przystępu, tam wolność religijna kwitnie na gruzach tyranii szatańskiej.

Pan nasz Jezus Chrystus rzekł: „W domu Ojca mego jest mieszkania wiele,“ * a św. Paweł: „Gwiazda od gwiazdy różna jest w jasności,“ ** co znaczy, że nie wszystkie dusze do siebie podobne ani w porządku przyrodzonym, ani w nadprzyrodzonym, że jedni do wyższej powołani doskonałości, inni do niższej. A więc i na podstawie podobnych zasad znajdujemy opartą konieczność stowarzyszeń pobożnych dla tych, którzy są powołani do życia doskonalszego, bądźto w świecie, bądź w stanie kapłaństwa świeckiego, bądź w zakonie.

* *
*

Nie masz nic prostszego, jak działalność stowarzyszeń religijnych w domach ks. Bosko.

Kiedy chodzi o założenie stowarzyszenia w domach tylko co powstających, katecheta wraz z dyrektorem wybierają dwóch lub trzech uczni prawdziwie pobożnych i cnotliwych i z nich tworzą zawiązek stowarzyszenia. Co tydzień zgromadzają się na naukę zwaną konferencyą. Jeśli aspiranci wytrwale zachowywali ustawy, wtedy po dwóch miesiącach zostają przyjęci jako członkowie stowarzyszenia. Przyjęcie odbywa się podług uświęconego formularza ułożonego na wzór profesyi zakonnej. Przewodniczący pyta aspirantów, czy są obeznani z regularminem stowarzyszenia i czy mają szczerą wolę zachowywać ustawy, a na ich twierdzącą odpowiedź, daje im oznaki stowarzyszenia, jakie nosić powinni w dni świąteczne.

Ustawy stowarzyszeń pobożnych w domach salezyańskich są bardzo proste. Główne artykuły określają dobry przykład, którym członkowie przyświecać powinni, i przystępowanie do Sakramentów św., które powinno odbywać się przynajmniej dwa razy na miesiąc. Gorliwe stowarzyszenie zamienia wkrótce komunię miesięczną na tygodniową dla większości członków, a na codzienną lub prawie codzienną dla wielu.

Każde stowarzyszenie ma swego prezesa. Przyjęcie nowych członków następuje po dwumiesięcznej próbie. Utrzymuje się rejestr stowarzyszonych, w którym sekretarz zapisuje także protokóły z posiedzeń i w którym pod specyalną rubryką umieszcza treść przemówień prezesa. Na początku posiedzeń czytają się nadesłane wnioski a każdemu wolno występować z uwagami, mającemi na celu jakieś spostrowanie lub uzupełnienie. Jeśli do stowarzyszenia są dopuszczeni także eksterniści, naonczas utrzymuje się także ich spis na to, aby wywołaniami sprawdzić ich gorliwość i obecność. Profesorom jest zalecone obchodzić się z członkami stowarzyszeń jak najłagodniej i o ile podobna nie czynić im żadnych publicznych zarzutów. Członkowie stowarzyszeń mają w przeciągu roku osobną przechadzkę, która jest niby nagrodą dobrego postępowania i usług, jakie oddają zakładowi, utrzymując w nim dobrego ducha i gorliwość.

* *
*

Owoce stowarzyszeń pobożnych są rozliczne. Nietylko bowiem uchylają względy ludzkie i popierają wolność religijną, lecz nadto wyrabiają charakter dzieci i wydają młodzież szczerze chrześcijańską i cnotliwą. Jedną z najcięższych trosk wychowawców jest przyszłość czyli wytrwanie ich uczni. „Czy ta mło-

* Jan XIV, 2.
** I Kor. XV, 41.

dzież już dobrze ustalona w wierze i cnocie?" Oto pytanie, które sobie co chwila w największem zakłopotaniu stawiają.

Ale czy małą jest rzeczą służyć Bogu w chwili obecnej, teraz Go chwalić życiem czystem i żarliwem? Zadaniem stowarzyszeń pobożnych jest nauczyć młodzież cenić czas i łaskę obecną, teraźniejszą.

Ów mały członek bractwa Świętych Aniołów Stróżów ubezpiecza się teraz przeciw ciężkim upadkom, zachowuje niewinność otrzymaną na Chrzcie św. i składa ją w ofierze Panu Jezusowi w dzień pierwszej Komunii św. Młody członek towarzystwa św. Alojzego Gonzagi odnawia często pierwszą komunię św., przechowuje jej błogie owoce, unika grzechu śmiertelnego i jak Jezus, wzór jego, codziennie rośnie w mądrość i łaskę u Boga i u ludzi. Członek stowarzyszenia św. Józefa to mały i młody robotnik, który swym potem użyznia własną pracę, a trudy jego są godne chwały niebieskiej. Członek bractwa Najśw. Sakramentu to przyszły kapłan albo zakonnik, to przyszły ojciec rodziny chrześcijańskiej, pociecha swego pasterza duchownego i chluba parafii. Członek małego kleru, wybrany z najgorliwszych członków innych stowarzyszeń, przypuszczony w największe uroczystości do służby przy ołtarzu, pełni z anielską pobożnością i skromnością obrzędy święte, cieszy Najśw. Serce Jezusowe i jest niby kwiatem wychowania chrześcijańskiego, kwiatem cudnym, o pięknych barwach, o przyjemnym zapachu. Co za piękny widok tworzą owe grupy młodzieży, stowarzyszonej na to, aby się święcie współubiegać o dosięgnięcie wyżyn cnoty i pobożności chrześcijańskiej. Oto jak wyglądają w domach salezyańskich różne stowarzyszenia pobożne.

Pewnego razu zachorował ciężko dwunastoletni chłopczyna. Był to wychowanek domu salezyańskiego w Lille (Francya). Ostatnie sakramenta przyjął z wielką pobożnością: na jego twarzy malował się pokój duszy: „Czy chcesz wyzdrowieć?" zapytał go spowiednik. „Nie," odpowiada z niebiańskim uśmiechem, „wolę umrzeć, by prędzej pójść do raju." Słowa te poruszyły do łez spowiednika, który do dziś dnia nie może wspominać o tem usposobieniu swego penitenta bez głębokiego wzruszenia.

Wytrwałość zjawi się w swym czasie i poprowadzi dalej młodzieńca. Gdyby zapytano owych dzielnych chrześcijan, którzy szczególnie w Francyi bronią słowem i piórem religii św., gdyby zapytano członków *Kół robotniczych* i cechów katolickich, przekonanoby się, że wszyscy lub prawie wszyscy, byli w młodości członkami stowarzyszeń pobożnych w kollegiach i szkołach chrześcijańskich. A jeżeli który z nich zboczył z prawej drogi, jeżeli głos namiętności przygłuszył w nim chwilowo głos sumienia i nawoływania łaski, to przy pierwszej pomyślnej okoliczności, przy pierwszem silniejszem zabrzmieniu głosu Bożego, ten syn marnotrawny wstanie, powróci do ojca i rzuci się na łono jego miłosierdzia.

„Księże Proboszczu, mówił do spowiednika umierający w sile wieku rzemieślnik, byłem uczniem braci zakonnych, należałem do ich ministrantów i podobno dobrze naonczas kadziłem, bo jeden z braci mawiał mi, iż w raju zajmę miejsce pomiędzy aniołami trzymającymi kadzielnice." „I sądzę dodawał proboszcz, opowiadając ten fakt, że w owej chwili ów zakonnik był prorokiem."

Słusznie powiadają, że w ostatnią godzinę człowiek nie idzie do Boga, lecz do Niego powraca. Owóż by powracać do Boga, trzeba było być na drodze do niego, a więc znać go. A iluż to chrześcijan, mimo Chrztu św. otrzymanego w zaraniu dni swoich, mimo pierwszej Komunii św. już w dojrzalszym wieku przyjętej, nigdy nie zaznało Boga, nie zakosztowali ani razu szczęścia łaski jego! Przeciwnie wszystkie nasze stowarzyszenia rozdzierają przed swymi członkami zasłonę otaczającą Boga i wskazują im na potoki uciech, jakie rozlewa w sercu Jego obecność. Stądto jeżeli weszli na manowce, prędzej czy później, niekiedy dopiero w ostatniej godzinie życia wracają do Boga. I nie jestżeto wytrwaniem, które ostatecznie nie jest niczem innem jak świętą śmiercią w łasce Bożej?

Oto czem są stowarzyszenia pobożne w domach salezyańskich i wszystkich domach wychowawczych, duchem chrześcijańskim ożywionych. Są one ich radością, chlubą i nadzieją.

(Ciąg dalszy nastąpi).



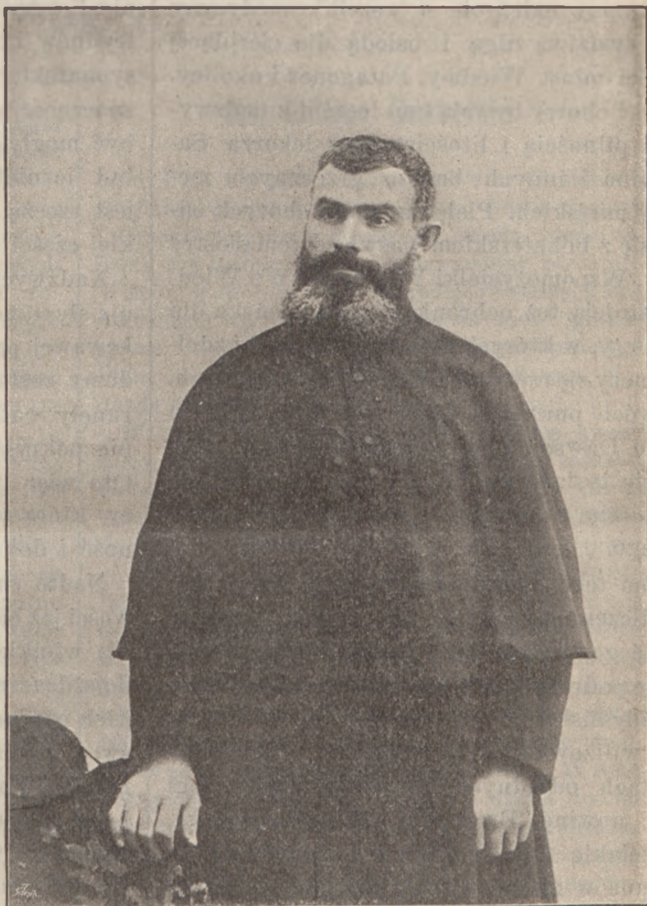
Salezyanie w Patagonii.

Nieustraszony nasz misyonarz ks. Milanesio, po 25ciu latach uciążliwej pracy apostolskiej w Patagonii, gdzie zapuszczał się z odwagą iście bohaterską w dalekie Pampasy, między dzikie plemiona, przybył do Turynu z rozporządzenia Najprzewielebniejszego ks. biskupa Cagliero, aby zbierać jałmużny i aby po miastach i wioskach włoskich miewać odczyty na korzyść biednych misyi salezyańskich w Patagonii. Korzystamy z tej okoliczności, by podać naszym Przezacnym Czytelnikom sprawozdanie, które on nam przedłożył. Wprawdzie dzieła ks. Bosko w Patagonii są już po części naszym Czytelnikom znane. Ale referat ten nie stanie się przez to samo mniej zajmującym, bo jest on niby całym obrazem misyi patagońskich, skreślonych w głównych zarysach ale bardzo dosadnie, na podstawie wiadomości pewnych, prawdziwych. Może te słowa poruszą szlachetne serca wielu poczciwych katolików, którzyby chętnie przyszli z pomocą tak zbożnemu przedsięwzięciu, gdyby mieli o niem dokładniejsze wyobrażenie.

Pierwsze misye salezyańskie założone zostały w Patagonii r. 1881, na Ziemi Ognistej r. 1885. Obecnie obejmują jeden Wikaryat i Prefekturę. Wykaryuszem Apostolskim jest od r. 1885 ks. biskup Cagliero, prefektem od tegóż roku Monsgr. Józef Fagnano, obaj ze Zgromadzenia salezyańskiego. Na prośbę ks. biskupa z Plata rozciągnęli poźniej księża Salezyanie swą działalność na terrytoryum Pampasów i na południową część prowincyi Plata, które to ziemie przeszły tem samem pod bezpośrednią jurysdykcyę wspomianego ks. biskupa Cagliero. Z licznych zakładów, które tam powstały, najważniejszy jest dom w pięknem, portowem mieście argentyńskiem Bahia-Blanca.

Misye salezyańskie rozwijają obecnie swą zbawienną działalność w Patagonii, w Ziemi Ognistej, w terrytoryum Pampasów, w Neuquen i w części prowincyi Plata, obejmując powierzchnię 1.213.000 klm.^{2}, t. j. taką przestrzeń, jaką zajmują Austrya i Niemcy razem wzięte.

Personal pracujący nad doczesnem i duchownem zbawieniem tej ludności, która dochodzi do 130.000, składa się z 60 kapłanów, 26 kleryków, 74 braciszków, 150 sióstr Najświętszej Panny Maryi, Wspomożycielki Wiernych, i około 100 osób obojga płci, które pracują za pieniężnem wynagrodzeniem. Księża Salezyanie w przeciągu 24 lat założyli 31 rezydencyi i to 18 dla misyonarzy a 13 dla Sióstr Najśw. Maryi Panny Wspomożycielki.



Misyonarz X. Milanesio, Salezyanin.

W prawie wszystkich tych rezydencyach istnieją szkoły, w których księża kształcą chłopców w nauce i cnocie, podczas gdy Siostry po swych domach czynią to samo względem dziewcząt. Zasługują też na wzmiankę kościoły i kaplice publiczne, których Salezyanie na chwałę Bożą wznieśli już 31. Oprócz tego wystawili szpital we Wiedmie, który zaopatrzony należycie w wszelkie medycyny jest prawdziwą ulgą i osłodą dla cierpiącej ludności miast Wiedmy, Patagones i okolicy. Bogaci i chorzy bywają tam leczeni z nadzwyczajną pilnością i litością przez lekarza Salezyanina i innych bardzo grzecznych medyków miejskich. Pielęgnowaniu chorych oddają się z bohaterskiem poświeceniem siostry Najśw. Wspomożycielki Wiernych. We Wiedmie istnieją też ochronki męska i żeńska dla młodzieży, w których stosownie do płci i zdolności uczy się rzemiosł i innych robót ręcznych. W dwóch punktach Ziemi Ognistej, t. j. na wyspie Dawson i na przylądku Peña, zbierają się tysiące rodzin tubylczych, aby zapoznać się z zasadami wiary i życia społecznego.

Krom tego ważną cząstką tych misyi, której milczeniem pominąć nie można, jest działalność gorliwych misyonarzy, którzy prawie zawsze podróżują, odwiedzając nie tylko szczepy indyańskie w ich szałasach, ale także i ucywilizowanych po wioskach, zagrodach i chatach odludnych, zanoszac w ich progi błogą nowinę Ewangelii, Sakramenta św. i wszelakie środki zbawienia. Podróże te, widziane w złudnem szkle odległości, wydają się czemś romantycznem, awanturniczem, a są w samej rzeczy połączone z niewygodami, cierpieniami i niebezpieczeństwami, których sobie czytelnik ani wyobrazić nie może. Lecz kto opuścił ojca, matkę, krewnych i ojczyznę z miłości ku Bogu, za nic sobie nie uważa, lub przynajmniej chętnie znosi, wszelkie dolegliwości.

Od czasu, kiedy nasi księża zawitali do Patagonii, otrzymali następujące rezultaty, uwidocznione w pamiętniku sekretarza ks. biskupa Cagliero: 47.000 chrztów św., z których około 15.000 udzielono tubylcom; 5.000 ślubów, 15.000 bierzmowań, 400.000 Komunii św. rozdzielonych ludności a 600.000 rozdzielonych wychowankom zakładów i dzieciom uczęszczających na nabożeństwa do kaplic świątecznych. Zauważyć należy, że dla braku pewnych wiadomości nie możemy podać liczby chrztów, ślubów, bierzmowań i Komunii św. z Ziemi Ognistej i że wogóle nie liczymy tutaj kazań, rekolekcyi, nowenn, tryduów i innych tego rodzaju mozołów misyonarskich. Aczkolwiek cyfry te sa bardzo znaczące, nie są one jednak takie, jakieby być mogły, gdyby i wytężający się personal był liczniejszy i środki były po temu. Pewną jest rzeczą, że rozwój misyi zależy w wielkiej części od napływu środków i jałmużny.

Nadzwyczajna powódź r. 1899, o jakiej dotąd nie słyszano, obróciła w niwecz większą część krwawej pracy misyonarskiej. Niektóre nasze domy zostały bardzo uszkodzone, inne zaś runęły całkowicie. Kwota 200.000 franków nie pokryłaby strat, jakieśmy wtedy ponieśli. Oto więc inna pobudka, Przezacni Pomocnicy, która powinnaby spotęgować waszą hojność i dobre serce.

Nadto znajdują się w Patagonii miejscowości już bardzo zaludnione, do których jednak dla wielkiej odległości tylko bardzo rzadko dojeżdżać możemy. Dzicz mieszkająca w takich osadach nie może być pouczona o wierze św. i nie może być ochrzczona, a chrześcijanie żyją i umierają bez sakramentów świętych i bez księdza. Na wzniesienie choć najpotrzebniejszych rezydencyi nie wystarczyłoby 250.000 franków.

Pełni ufności zwracamy się do Waszego wspaniałomyślnego serca i od Was, Przezacni Pomocnicy i Czcigodne Pomocnice, oczekujemy silnego wsparcia w spełnieniu tak wielkiego zadania.



WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

NAD GROBEM DWÓCH ZASŁUŻONYCH KAPŁANÓW.



Zbliżał się dzień 20ty listopada, dzień dla zakładu salezyańskiego w Oświęcimiu tak pamiętny, rocznica jego poświęcenia, gdy dwie katastrofy wstrząsnęły gwałtownie nie tylko zakładem ale całym Oświęcimem. Serca wyrzekły się uczuć radosnych, nie pociecha ale głęboki smutek wyciskał strumienie łez, pod niebiosa nie wzbijały się wiwaty ale rozpaczliwe jęki, w kościele nie brzmiało *Te Deum*, ale uroczyste, poważne *Requiem aeternam*.

Dnia 9go października zmarł nagle w zakładzie ks. Wiktor Grabelski a w sześć dni potem wyzionął ducha w zakrystyi kościoła parafialnego proboszcz oświęcimski ks. Prałat Andrzej Knycz. O naprawdę że dziwne są wyroki Opatrzności Boskiej! Jak wspólne były dążenia, uczucia i prace tych dwóch kapłanów, tak niemal wspólną stała się dla nich godzina śmierci i wspólny ten cmentarz, na którym ich śmiertelne zwłoki czekają na głos wskrzeszającej trąby anielskiej. Zakład oświęcimski, oto ich punkt zespolenia za życia. Na różnych stojąc stanowiskach, temu samemu hołdowali ideałowi, do tego samego dążyli celu, do wzniesienia tego zakładu. Ś. p. ks. Grabelski jako redaktor *Wiadomości Salezyańskich* przygotowywał opinię na przyjęcie Synów ks. Bosko i rozszerzając związek Pomocników Salezyańskich, zakładał jedyny możliwy fundament pod to dzieło, które ś. p. ks. Knycz rzeczywiście przywiódł do skutku, dzięki swej wyjątkowej energii, bezinteresowności, żarliwej gorliwości kapłańskiej.

Teraz kiedy po trudach obaj spoczywają koło siebie w ziemi, kiedy serce chciałoby od żalu pęknąć a oczy chciałyby wylewać potoki łez, przypatrzmy się choć pobieżnie ich życiu, pocieszmy się pamięcią ich prac i cnót i uczmy się od nich, jak służyć sprawie Bożej i sprawie narodowej.

Ks. Wiktor Grabelski

urodził się 17go października 1857 r. w Gleśnie we Wielkiem Księstwie Poznańskiem. Gdy z biegiem lat zaczął uczęszczać do szkoły, wtedy bieda rodziny a z drugiej strony nadzwyczajne zdolności Wiktora wywołały w sercach rodziców walkę, która zakończyła się oddaniem syna na nauki gimnazyalne. Młody chłopiec zgłębiał tajemniczą księgę życia, poczynając od nędzy i upośledzenia biednego studenta.

W roku 1878 wstępuje w drugi okres swego życia. Szukając swego stanowiska, swego sposobu życia, swej drogi, żegna ojca, matkę i trzech braci, opuszcza rodzinne strony i przez Śląsk jedzie do Krakowa, gdzie w następnym roku znajdujemy go między słuchaczami teologii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Ale w krakuskim grodzie nie mógł on znaleźć owego spokoju wewnętrznego, który staje się udziałem człowieka, który wszedł na swą drogę. Przed bystrym wzrokiem jego duszy otwierały się niezmierne widnokręgi, których ostatecznym krańcem i tłem było uosobnienie wszystkich objawów religii katolickiej — Rzym. W roku 1880 jedzie do wiecznego miasta i słucha wykładów filozofii na uniwersytecie gregoryańskim. W kwietniu 1884 zapisuje się w grono zwyczajnych uczni uniwersytetu w Insbruku. Teologia dogmatyczna, moralna i pastoralna, prawo kanoniczne, historya powszechna i kościelna, objaśnienia Pisma św., wymowa, archeologia, liturgia, język sanskrycki, syryjsko-chaldejski i arabski, oto ogólnikowy spis wykładów, na które przez pięć półroczy uczęszczał. Przy tem interesował się żywo ruchami katolickimi, powstającymi wśród młodzieży akademickiej i brał w nich najczynniejszy udział jako członek Stowarzyszenia uniwersyteckiego Najśw. Maryi Panny i św. Wincentego a Paulo. W styczniu 1887 r. dostaje się po raz drugi do Rzymu i wstępuje do kollegium północno-amerykańskiego. Ale jakiś nowy prąd wyrywa go z wiecznego miasta. Imię żyjącego jeszcze ks.

Bosko było głośne. Zgromadzenie salezyańskie, nie tylko założone ale znacznie rozwinięte, było zastosowane do potrzeb bieżących czasów i wabiło swą cechą nowożytności. Nasz Wiktor uległ jego urokowi, przyjechał do Turynu w kwietniu 1887 r. i tak zakończył drugi okres swego życia, okres studyów akademickich, okres dziesięcioletniego tułactwa, a zakończył go zwycięsko, jako *Victor*, bo znalazł, czego szukał, znalazł swą drogę.

Życie zakonne to suma cnót i pracy, wynik aktów zaparcia się i przezwyciężenia, rezultat szczególniejszych łask Bożych i współdziałania ludzkiego. Nawyknąć do tych cnót, zagrzać się do tej pracy, zżyć się z duchem krzyża i pokory, wyuczyć sie rozeznawania łask Bożych a równocześnie poznać ich wartość i potrzebę wzajemności, to zadanie, które spełnić należy w nowicyacie zakonnym. Nasz Wiktor przystąpił do tej pracy wewnętrznej r. 1887 w San Benigno Canavese, gdzie zetknął się ze świątobliwym księciem Augustym Czartoryskim. Nie brakło napadów ze strony świata, zmierzających ku temu, by podkopać dodatnie wrażenie reguły i obserwancyi i wpływ, jaki na jego wytrwanie otaczające go jednostki wywierały. Ale on nie uległ podszeptom, nie ustąpił, poszedł za głosem Bożym, 24go listopada t. r. otrzymał suknię zakonną z rąk samego ks. Bosko (1) i udał się do Valsalice, gdzie rozpoczął regularny nowicyat.

Z biegiem czasu został ks. Wiktor posunięty na urząd profesorski, na który był jakby stworzony. Głęboka znajomość historyi, geografii, nauk matematyczno-fizycznych. teologii, prawa kanonicznego, języków polskiego, niemieckiego, włoskiego, francuskiego, hiszpańskiego, łacińskiego, greckiego, hebrajskiego, arabskiego, sanskryckiego i syryjsko-chaldejskiego, czyniła z niego męża, który na proponowane mu katedry Pisma św., języka hebrajskiego i geografii mógł wstąpić z całą pewnością pożytku uczni kleryków. W tym czasie dokonał też przekładu na język niemiecki *Życia św. Augustyna*, które w języku włoskim i francuskim wydał nasz Przew. ks. dr. Juliusz Barberis.

Ale te lata nie są jeszcze tym okresem w jego życiu, w którym on wznosi się na stanowisko męża opatrznościowego. Jego właściwa misya, jego wyjątkowe zadanie datuje się dopiero od roku 1890, kiedy do Valsalice zaczynają przyjeżdżać Polacy na studya. Zbolała oddaleniem rodziny i ojczyzny, związana nieznajomością języka krajowego, zrażona obcymi zwyczajami, cudzym stołem, innym trybem życia zniechęcona, byłaby się ta młodzież nieszczęśliwego kraju znalazła w daleko nieszczęśliwszych warunkach na obczyźnie. Jeżeli wtedy owe coraz to liczniejsze gromady młodzieńców polskich nie poszły w rozsypkę i jeżeli z ich grona wyszli zakonnicy, kapłani, misyonarze, profesorowie, nauczyciele, redaktorowie, akademicy, poczciwi rzemieślnicy, Polacy sercem i czynem, to wyniknęło to z nadludzkiej działalności ks. Wiktora. Jako profesor i kapłan, rozwinąwszy do najwyższego natężenia swe umysłowe i moralne potęgi, stanął między młodzieżą polską jako punkt środkowy jej wspólnego życia i przez dłuższy czas stał tam sam jeden, jako przewodnik duchowny i nauczyciel, jako przełożony i opiekun, jako ojciec i brat. Wszyscy pamiętamy te czasy, kiedy sam uczył języka polskiego, włoskiego, łaciny, geografii, liturgii, kiedy wykładał obyczaje objaśniał psalmy. Pięć, sześć godzin lekcyi dziennych, to była jego praca w szkole; 50, 60, 80 zeszytów z wypracowaniami do poprawienia, to jego zajęcie w celce, zajęcie, któremu oddawał się z mikroskopijną obserwacyą i wielką pilnością. Ile sobie zjednał wówczas sympatyi, ile sobie wówczas podbił serc, jakie zyskał poważanie, tego dowodzi owa powódź listów, które z kraju i obczyzny niemal codziennie przynosiły mu wiadomości o jego uczniach i pytały troskliwie o jego zdrowie. Z tego okresu, który kończy się z rokiem 1896 nie mamy żadnych dzieł literackich: nie był on wtedy pisarzem ale wychowawcą, nie układał książek, ale tworzył ludzi.

Tymczasem w ziemiach polskich rozwijał się związek Pomocników Salezyańskich, wytwarzały się pierwiastki wielkiej potęgi, które koniecznie trzeba było jakąś spojnią skojarzyć i prowadzić do wspólnego działania. Tą spojnią stały się w r. 1897 *Wiadomości Salezyańskie*, zaś głową całego ruchu i redaktorem nowego czasopisma sam ks. Wiktor. Młodzież polska we Włoszech miała już wtedy swoje kollegium w Lombriasco, które się bez jego wysiłków utrzymywało i pełniło swe

---

(1) Z ks. Grabelskim otrzymali wtedy suknię zakonną ks. August Czartoryski, jeden Francuz i pewien Anglik. Wtenczas to ks. Rua, ówczesny zastępca ks. Bosko, przytaczając słowa Izajasza Proroka: *Przyprowadzę syny twe z daleka*, powiedział między innemi słowami: „Widzicie tu czterech młodzieńców w kwiecie wieku, odrzucających wszelkie widoki urzędów i zaszczytów światowych, do jakich stanowisko społeczne uprawniaćby ich mogło, i żegnających wszelkie uciechy ziemskie. Dzień ten jest uroczysty dla nich i dla nas; dla nich, gdyż odtąd Bóg stanie się ich dziedzictwem, odtąd przed nim będą stawać, nosząc miano sług Jego; uroczystym i dla nas, bośmy przyodziali dziś czterech nowicyuszów, z których każdy, czy to stanowiskiem, czy urzędem, czy nauką (odnosi się to do ks. Wiktora), zapowiada dla naszego drogiego zgromadzenia przyszłość coraz świetniejszą, a co więcej, budzi nadzieję, że dzieło miłosierdzia za łaską Bożą rozpoczęte, coraz bardziej rozszerzać się będzie.“ Wtenczas to ks. Bosko zszedł był do kościoła po raz ostatni. (Według *Pamiątki ś. p. ks. Augusta Czartoryskiego*, w przekładzie ks. Jerzego Kalinowskiego str. 28, 29.).

zadanie; mógł się on więc oddać zupełnie nowemu przedsięwzięciu, ku niemu skierować wszystkie swe nadwątlone siły. Już pierwsze numera przyniosły czytelnikom, prócz pomniejszych prac i odezw, piękne studyum nad nabożeństwem do Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych. Z pod jego pióra wyszły tłómaczenia listów misyonarskich, a więc żywe obrazy, piękna gór, lasów, mglistych poranków i tajemniczych uroków: z jego zachęty ks. Stanisław Cynalewski skreślił swój miesiąc podróży, tak zajmujący, tak obfity w najciekawsze wiadomości historyczno-geograficzne. Serdecznemi słowami do Pomocników umiał wywołać wybuchy entuzyazmu dla nowego zgromadzenia i zdołał rozszerzyć szeroko związek Pomocników. Po obudzeniu tej energii można było przystąpić do pracy na korzyść młodzieży polskiej, można było otworzyć dom salezyański w Polsce. Jeżeli zakład oświęcimski dziś istnieje, jeżeli w zakładzie tym 106 chłopców otrzymywało wychowanie w chwili jego śmierci, jeżeli nadzieja dalszego rozwoju dzieła salezyańskiego w Polsce straciła pozory niedorzecznej mrzonki, to pamiętać należy, że to wcielenie ideału ks. Wiktora, że to nie dałoby się powiedzieć, gdyby on pod to dzieło nie był przygotował gruntu.

Ale niestety ten ogrom pracy złamał jego siły fizyczne. Nerwy wybiły się z pod panowania rozumu i woli a serce poczęło w piersiach bić tak gwałtownie, że, jak sam wyznawał, wskutek tego wyrodził się ów anormalny stan fizyczny, umysłowy, moralny, którego następstwami były najpierw nieregularne wydawanie *Wiadomości Salezyańskich* w r. 1900, potem silniejsze objawy jego choroby i nakoniec usunięcie się ze stanowiska redaktorskiego (w jesieni 1900 r.).

Ale tak wielkie były jego zasługi, tak ważne te dzieła, których przy lepszem zdrowiu byłby niezawodnie dokonał, iż Zgromadzenie, mimo swego ubóstwa, postanowiło wysłać go na kuracyę wprzody do Verishofen i Merdingen w Bawaryi, potem do Marienbadu w królestwie wurtemberskiem. Towarzystwo dawnych kollegów uniwersyteckich, pokrywających część jego kosztów kuracyjnych, uprzyjemniało mu pobyt w rzeczonych zakładach. Żył on tam życiem swobodnem, chciał skupić i zebrać na nowo swe siły, ale kiedy po półtoraroczncj kuracyi potęga bijącego serca doszła nieprzewidzianych rozmiarów i tamowała mu oddech i pozbawiała go sił a rozstrojone nerwy nie wyrzekały się swych strasznych igraszek, wtedy poznał całą bezskuteczność środków lekarskich, całą daremność nakładów, jakie zgromadzenie nań łożyło.

Uzyskawszy pozwolenie przełożonych, stanął w Oświęcimiu w pierwszych dniach czerwca b. r. Leżał przez kilka tygodni w łóżku bez nadziei długiego istnienia. Wchłaniając w siebie częste, urywane oddechy, zdawało mu się niekiedy, że leci do niezmierzonego przestworza słabości. W spokojniejszych chwilach mawiał: „Śmierć jest ślepa, nieugięta, ale będzie słodka, bo umrę w tym zakładzie, na ziemi polskiej.“

Ale klimat ojczysty, widok błogich skutków swej pracy, wzruszające sceny, które wywoływała w Oświęcimiu pobożność ludu polskiego, wreszcie intelligentne zabiegi lekarskie p. Dra Ślusarczyka, który nie tylko zrozumiał jego chorobę, ale umiał też odgadnąć jego psycnologiczne usposobienie i nie tylko leczył ciało, ale krzepił ducha i osładzał życie, sprawiły, że ks. Wiktor ożył, zaczął odprawiać Mszę św. z wielką pobożnością, wraz z współbraćmi odbył rekolekcye i przesycony jakąś zdrowszą atmosferą zapragnął poświęcić szkole i młodzieży polskiej resztkę sił swoich. Jego lekcye wywoływały podziw i szacunek, a jemu wydawało się, iż po każdej lekcyi odzyskuje cząstkę dawnych sił i pokonywa swą chorobę. Ale jak lampka, świecąca się przed obrazem Bogarodzicy, gasnąc błyśnie większym płomykiem, by nie zostawić jakiej cząsteczki niedopalonej, ale wszystkie resztki wyświecić na cześć Niebieskiej Panienki, tak ta praca naszego ks. Wiktora była ostatnią jasnością jego życia, w której spłonęły ostatki jego istnienia, kończyny jego bytu, poświęconego sprawie Bożej, sprawie polskiej.

Dnia 9 października wpół do dwunastej ks. Wiktor Grabelski umierał nagle na atak serca ale umierał w otoczeniu współbraci zakonnych, w zakładzie salezyańskim, na ziemi polskiej.

Straszny jęk wyrwał się z serc jego braci, uczni, i jęk ten biegł daleko po ziemi i budził inne jęki, liczne, głębokie, rozpaczliwe. Przy smutnych dźwiękach kapeli zakładowej złożono zwłoki jego na cmentarzu oświęcimskim 11 października. Ks. Heintzel, jeden z jego dawnych uczni, żegnał go po raz ostatni imieniem wszystkich współbraci, i dawnych kolegów a jego uczni. Kiedy na trumnę posypały się grudki ziemi, płakali współbracia Salezyanie, płakała młodzież zakładu, płakał lud oświęcimski a po szerokim świecie płakało niejedno oko i niejedno serce krwawiło się od bólu.

Ks. Andrzej Knycz

Szambelan Jego Świątobliwości Leona XIII, Kawaler orderu cesarza Franciszka Józefa, Wice-Dziekan, Proboszcz oświęcimski, honorowy członek królewskiego miasta Oświęcimia etc. etc. (1).

Ś. p. ks. Andrzej urodził się w wiosce pod Białą (w Galicyi) położoną, w Kozach, dnia 15 października 1835 r. Pochodził z ubogiej rodziny, ale szczerze i gorąco przywiązanej do wiary Ojców. Między szczególniejszemi łaskami, jakie ś. p. Andrzej otrzymał, niemałej wagi była i ta, że miał matkę nader pobożną, którą kochał po Bogu naj-

(1) Wiadomości, zawarte w niniejszem wspomnieniu, czerpiemy w wielkiej części z rękopisu kazania, jakie nad zwłokami powiedział ks. Dr. Franciszek Gabryl, dziekan wydziału teologicznego na Uniwersytecie Jagiellońskim a szczery przyjaciel ś. p. ks. Knycza.

więcej; ona to wprawiała to młode a tkliwe serce do miłości Boga a uczyła obrzydzenia dla grzechu. Wcześnie też zaczął okazywać ś. p. ks. Andrzej wielkie zdolności do nauki, a oddany do szkoły w Bochni łączył modlitwę z pracą, zyskując miłość kolegów młodocianych swą cichością i łagodnością a poważanie swych nauczycieli wzorowem zachowaniem się i pilnością w naukach. Dał mu Bóg krótki wzrok, ale za to obdarzył go trwałą pamięcią, tak iż przez całe gimnazyum celował jako pierwszy między uczniami. Biedny był ś. p. ks. Andrzej, a można powiedzieć bez przesady, że pozostał takim przez całe swe życie. Z rozrzewnieniem wspominał nieraz o tych chwilach, gdy o głodzie i chłodzie siedzieć musiał nad książką; z płaczem opowiadał, jak to we wigilię Bożego Narodzenia szedł ulicami jako biedny chłopczyna i zaglądał w okna oświetlone, gdzie szczęśliwsi od niego, bogatsi koledzy, rączo uwijali się około suto przybranych choinek, gdy tymczasem on nie miał co w usta włożyć. Bóg patrzył na łzy tego biednego chłopczyka, któremu nie było danem ogrzać się przy sercu matczynem w dni radosne świąt; Bóg też czuwał, że w to serce nie wkradł się wąż zazdrości dla tych, co więcej mają, ale owszem wszczepił w nie litość dla nędzy i współczucie dla opuszczonych, które go odtąd nie opuszczają nigdy. Pracą własną, a rzadko tylko doznając wsparcia od innych, przebijał się młody studencik przez życie, póki w Krakowie nie ukończył z chlubą klas gimnazyalnych. Dokądkolwiek byłby się zwrócił ukończony gimnazyalista, jakikolwiek byłby sobie obrał zawód, byłby przy swych wielkich zdolnościach, przy niezłomnej pilności i nadzwyczajnej prawości charakteru zająć mógł stanowisko wybitne; lecz ś. p. ks. Andrzej umiał już patrzyć na świat innem okiem, mierzyć rzeczy doczesne wiecznością, i dlatego postanowił oddać się na służbę Bożą. Przyjęty do Seminaryum duchownego w Tarnowie, zwrócił w krótkim czasie na siebie uwagę swych przełożonych swą pobożnością, ale w rozumnych trzymaną karbach, oraz wybitnemi zdolnościami w naukach teologicznych. To też przełożeni postanowili oprawić tę perłę w drogocenniejsze ramy dla większej chwały Boga i Kościoła i w tym celu wysłać go zamierzali na dalsze studya naukowe za granicę, aby tam nabrawszy potrzebnej wiedzy, wprawiał młodych lewitów do służby ołtarzowi. Wymówił się atoli ś. p. ks. Andrzej od tego zaszczytnego posłannictwa, bo wolał w ciemności pracować bezpośrednio nad ludem, a do tego i słaby wzrok nie pozwalał na mozoły książkowe. Nie wiemy czy dużo jeszcze żyje w Oświęcimskiej parafii ludzi, którzy znali ś. p. ks. Andrzeja, jak do nich w 1867 r. przybył z Rychwałdu jako młody kapłan, pełen ognia Bożego i żarliwości w służbie Bożej; ale jeżeli żyją jeszcze i pamięć ich nie zawodzi, potwierdzą że te cnoty, jakiemi odznaczał się ś. p. ks. Andrzej przy końcu swego życia, już w ówczas w nim jaśniały. Uczynny, uprzejmy, łagodny w konfesyonale i w obejściu się z ludźmi, miłosierny, pierwszy spieszył do konfesyonału, a słowa jego zagrzane rzeczywistą miłością Boga, kruszyły oporne nieraz serca zatwardziałych grzeszników i przywodziły ich do pokuty i poprawy życia. Niezadługo danem mu było rozwinąć te cnoty w większej jeszcze mierze, gdy został pasterzem samodzielnym w Polance W.; natrafił na czasy ciężkie: nieuradzaje, cholera, głód dokuczały i jego owieczkom, ale tem samem potęgowała się i ofiarność ś. p. ks. Andrzeja.

Działalność jego wydała błogosławione owoce. Duchem bożym przejęty pracował jakby Apostoł z całą żarliwością i zaparciem samego siebie, nie szukał żadnego wyniesienia i honorów, jedynie oglądał się na nagrodę z nieba. Po 24-letniej jego pracy Polanka Wielka przybrała zupełnie inną postać, bo umiał on na ten lud wpływać. Prawdziwie natchnione jego słowa głoszone z ambony, jego działalność w szkole, jego doświadczenie i wysoka nauka, a przytem roztropność w postępowaniu z ludem sprawiły, że Polańczanie uwielbiali go i za nim byliby wszędzie poszli. Wychował sobie poprostu ludzi, dla których głos proboszcza był świętym, a sam ks. Proboszcz był ogniskiem wszelkiego życia w parafii. To też on wpływem swoim zażegnał długoletni spór między dworem a ludem. Działalnością w szkole sprawił, że wielu Polańczan posyłało swoich synów do szkół i z pod jego to ręki szczęśliwej wyszło tylu dzielnych uczniów na rozmaite stanowiska w kraju. Wszyscy ci uczniowie mile sobie wspominają czasy, kiedy, przybywszy na wakacye do Polanki, mieli to wrażenie, że na plebanii odbywają drugą szkołę, ale szkołę miłą i swobodną, polegającą na pogadance, w której ks. Proboszcz Kuycz starał się w serca młodociane wszczepiać zasady dobre i uzupełniać niejako te naukę, którą pobierali w gimnazyum. Że posiew był szczęśliwy, widać z tego, że przeważna część jego duchowych wychowanków poświęciła się stanowi duchownemu.

Wytężająca praca pasterska podkopała jego zdrowie, ś. p. ks. Andrzej zapadł w ciężką niemoc. Nie zapominał jednak o nim lud, który umiał oceniać pracę kapłana, co nie żałował siebie, ale z natężeniem wszystkich sił starał się o ich doczesne i wieczne dobro. Gdy tylko spostrzegli parafianie, że groźna choroba pozbawić ich może ukochanego pasterza, rzucili się do modlitwy, aby od Dawcy wszystkich łask uzyskać powrót do zdrowia dla swego pasterza. Bóg przyjął ich westchnienia, ofiary mszy św., komu-

nie św. w intencyi chorego przyjmowane, i ś. p. ks. Andrzej nadspodzianie zdrowie odzyskał. Okazało się jednakże, że dalej już nie będzie mógł pracować tak wytężająco i że potrzebna mu wyręka przez siłę młodszą. Wtedy to nieodżałowanej pamięci kardynał Dunajewski w ocenieniu takiej nadmiernej pracy ze strony ś. p. ks. Knycza, ofiarował mu kanonię przy katedrze krakowskiej. Ale cichy i skromny kapłan nie przyjął tej godności, bo nie chciał opuszczać swych owieczek. Starganym jego siłom przyszła w pomoc Opatrzność. Zawakowało probostwo Oświęcimskie, gdzie już był przedtem pracował. Chociaż całem sercem przywiązał się do swojej ukochanej Polanki i tylko z bólem serca stamtąd odjeżdżał, nie chciał się jednak sprzeciwiać woli swojego Arcypasterza i objął w r. 1890 probostwo Oświęcimskie. Parafia przyjęła go z radością niewypowiedzianą, dziękując Bogu, że jej daje za pasterza kapłana tak chlubnie z cnót swych znanego.

Od tej chwili ile trudów łożył ś. p. ks. Andrzej około zbawienia dusz swych parafian! On pierwszy siadywał w konfesyonale, on pierwszy spieszył z wszelką pomocą duchowną. Ile on to pogodził zwaśnionych małżeństw, ilu odwiódł od ciężkich występków, ile wykorzenił pijaństwa. Był on prawdziwym ojcem swych parafian. Ich boleść była jego boleścią, ich smutek jego smutkiem, ich radość jego radością. Był jakby sercem całej parafii, sercem, z którego płynęła sama słodycz, dobroć i świętość. Temi cnotami pociągał ku sobie sobie wszystkich, zjednywał nawet nieprzyjaciół a sam otaczany był takim szacunkiem i czcią jakoby święty na ziemi. I słusznie gdyż całe życie pracował nad uświęceniem własnem i tych, których Pan Bóg poruczył jego opiece.

Kiedy ks. Knycz przyjeżdżał do Oświęcimia, nie była to wprawdzie parafia zaniedbana, ale miała na sobie jeden wrzód, który się długo jątrzył, a nie było lekarza, któryby ten wrzód umiał wyciąć. Tym wrzodem bolesnym były ruiny klasztoru podominikańskiego, ruiny wspaniałego kościoła przemienione na składy i stajnię żydowską. Aż strach pomyśleć, jakim to sposobem do tego dójść mogło. A jednak tak było i w takim stanie objął nowy proboszcz swoją parafię. Gdy się zważy, że to była dusza święta, dbała o chwałę Bożą i ochędostwo Jego domu, to można sobie wyobrazić, ile bólu sprawiał mu widok tak znieważonej świątyni Pańskiej, w której przedtem przez 500 lat cześć Bogu była oddawana. Ale to nie kapłan taki, który tylko ubolewa nad złem — on się wziął zaraz do czynu; miłość Boża go paliła, zawiązał więc komitet obywatelski, rzucił iskrę, która w niedługim czasie płomieniem buchnęła. Posypały się składki tak obfite, że 1894 r. wykupiono za składki parafialne ruiny z rąk żydowskich, z przyległym gruntem pod budowę. I co wydawało się niemożliwem przez wiele lat, tego dokonał w krótkim czasie kapłan przejęty zapałem dla sprawy Bożej. A ktoby chciał oglądać skutki tego zapału, niech przyjedzie do Oświęcimia i przypatrzy się, jak wygląda obecnie to miejsce, gdzie sterczały tylko mury opuszczonej i znieważonej świątyni Bożej. Olbrzymi zakład salezyański, dający schronienie 105 chłopcom najuboższym z całego polskiego kraju, błogosławi teraz i ze czcią wspomina imię swojego założyciela i dobrodzieja ks. Knycza. On bowiem pragnąc by modlitwa, praca i wychowanie religijne chłopców wynagradzało Panu Bogu te zniewagi, jakich doznawał na tem miejscu przez długie lata od innowierców, oddał odkupione ruiny, za zezwoleniem Najprzewielebniejszego Księcia Kardynała Puzyny, synom ks. Bosko, z którym miał niegdyś listowne stosunki. Gdy z biegiem czasu zakład począł mieścić coraz to liczniejszy zastęp wychowanków, wtedy on przychodził ich często odwiedzać, pytał się troskliwie o ich postępy i potrzeby i nazywał ich czule swemi dziećmi. A kto opowie szczerość zachęt i życzeń, z któremi przemawiał do przełożonych, lub nieograniczone zaufanie, jakiem darzył dyrektora, Przew. ks. dra Manassero?

A jakież stanowisko zajął ś. p. ks. Knycz wobec różnych ruchów społecznych, które za jego życia się budziły i zapalały zwłaszcza niższe klasy narodu?

„Ś. p. ks. prałat Knycz bardzo ubolewał i martwił się bardzo, widząc że ruch włościański zaprawiany nienawiścią do wszystkiego, co go otaczało, na niebezpieczne toczył się drogi. Dziś już nie pojedynczy włościanin tylko, ale całe okolice nawet przejrzały, że nie każdemu z dawnych przywódców tego ruchu ufać należało. Ale zmarłemu temu pasterzowi, niezwykłej ludzkiej miary, pełne należało się zaufanie, bo to był kapłan Bogu poświęcony, Bogu oddany, Bogu służący i pragnący wszystkie swe owieczki do Boga doprowadzić. Ktoby z nim chciał zrywać, musiałby zerwać i z samym P. Bogiem, którego on wiernym był sługą. Przeglądnąwszy życie jego, łatwo każdy przekona się o tem, że takim był a nie innym, że więc rzeczywiście ufać mu można było i należało.

„Bo najprzód omyliłby się grubo ten, ktoby mniemał, że ten Prałat wielkopolskie jakieś prowadził życie:

„Z dostatniej poprzedników jego plebańskiej rezydencyi, zostały dla niego dwa tylko pokoje z przedpokojem, a i te używane były na przechowywanie co lepszych szat i naczyń kościelnych. Mieszkanie to urządzone było nadto niedostatecznie, z niezbędnymi tylko i ubogimi sprzętami.

Przekona się o tem każdy, gdy z porządku rzeczy przyjdzie do ich sprzedaży.

„Majątku w pieniądzach nie zostawia także żadnego, bo co miał, to rozdawał na dobroczynne cele i na ubogich. Gdyby nie miasto Oświęcim, które czcząc swego pasterza, postanowiło łożyć na wspaniały pogrzeb, nie byłoby za co go pochować.

„Za czcią i honorami nie ubiegał się także..... (jak już o tem wyżej była mowa).

„W stosunku do wszystkich grzeczny, szczery, wylany, gościnny, prawie sługa pokorny. Od całej postaci jego bił majestat uczciwości i pobożności, a jednak taki on był skromny i pokorny, że aż w trudne nieraz położenie nas wprawiał, jak wzajemnie odpłacić się za tę cześć i uprzejmość nam świadczoną. Nam zwłaszcza kapłanom zdawało się, że tem więcej czci okazuje, im świat wolnomyślny nam jej odmawia; ale czyż nie był z tą samą czcią i uprzejmością dla każdego z parafian, ktokolwiek zbliżał się do niego w swoich smutkach, troskach i potrzebach? Czyż nie obchodził się z każdym tak samo przy konfesyonale? Czyż takiemu można było nie ufać?

„Jako dalsza podstawa zaufania zmarłemu pasterzowi niech i to posłuży, że on z pod słomianej wyszedł strzechy, że potrzeby ludu znał z własnego doświadczenia i nad niemi bolał; że od krewnych swoich, ludzi ciężkiej codziennej pracy, nie stronił, ale ich miłował, za bytności w rodzinnem miejscu zawsze ich odwiedzał, a jednak tego ruchu włościan, jak on się okazał, nie pochwalał, bo go pochwalić nie mógł, bo był sługą Boga Miłości a ten ruch widział pełno nienawiści, podczas gdy koniec przykazania Bożego ma być miłość...

„Był on za tem, aby się lud przebudził i poznał nie tylko swe prawa ale i swe obowiązki chrześcijańskie jako katolicy, narodowe jako Polacy i ogólno ludzkie, bo człowiek czasem zapomina nawet o tem, że jest człowiekiem. Dziś wielu mówi o swych prawach a zapomina o obowiązkach i opór stawia nauczającemu i upominającemu duchowieństwu. Ten opór niejednego już kapłana goryczą napoił, nie zgorzkniał jednak ś. p. ks. Knycz.

„Więc mu i za grobem stojącemu ufać należy i pomnieć na upomnienia jego a krzepić ducha swego tak, jak on go krzepił: modlitwą i ufnem poddaniem się Opatrzności Bożej...“ (1).

Ten niepospolity kapłan i człowiek zakończył swoje pełne zasług życie święte w kościele, w czasie spełniania swych obowiązków — w albie. Nagły zgon jego zgromadził w jednej chwili taki tłum ludu, że się w kościele pomieścić nie mogli. Na twarzach wszystkich nie widziałeś niczego prócz łez; bolesny jęk żalu wyrwał się z serc wszystkich i nie było jednego człowieka, którvby przez tę śmierć nie poczuł podobnego sieroctwa, jakie odczuwają dzieci po stracie ukochanego ojca. Miasto nasze okryła jedna żałoba. Rada miejska, nie wyłączając radnych izraelitów, zgromadziła się w komplecie i uchwaliła pochować ks. Prałata na koszt miasta. Wszystkie urzędy, stowarzyszenia i korporacye obmyślały sposób uczczenia i oddania ostatniego hołdu najzacniejszemu Pasterzowi i członkowi wszystkich tu istniejących towarzystw katolickich. To też eksportacya do kościoła parafialnego 17 października wypadła mimo ulewnego deszczu nietylko poważnie ale wspaniale. W kościele przemawiał do słuchaczy podniośle i porywająco ks. Waszkiewicz, proboszcz z Bielan. W sobotę, 18 października, po całem officyum za zmarłego i trzech wotywach odprawił sumę Najprzewielebniejszy ks. biskup Anatol Nowak. Wychowankowie zakładu salezyańskiego wykonali poprawnie dwugłosowe *Requiem* Meluzziego. Nad zwłokami przemówił z wielkiem przejęciem, rzewnie, żegnając swego prawdziwego przyjaciela, ks. dr. Fr. Gabryl, były wikaryusz Oświęcimski, obecnie profesor uniwersytetu Jagiellońskiego. O godzinie wpół do 1ej po południu wyruszył smutny pochód na cmentarz. Pochód otwierała i zamykała straż pożarna oświęcimska, babicka i inne, za nią postępowali weterani wojskowi, wszystkie szkoły z parafii, w dwóch szpalerach, między którymi postępowała kapela, złożona z wychowanków Salezyańskich. Następnie szły: służba kolejowa ze sztandarem i wieńcem, Rada miejska, władze polityczne, szkolne i autonomiczne, zakony i duchowieństwo; przed trumną niesiono order zmarłego, za trumną rodzina i nieprzeliczone tłumy ludu z kilkudziesięciu okolicznych wsi, wszystkie cechy bez wyjątku tworzyły jeden długi szpaler.

Trumnę niosły straże, weterani, Radni miasta, nauczyciele, gospodarze wiejscy i księża. Kondukt prowadził Najprzewielebniejszy ks. biskup Nowak w otoczeniu około 120 księży świeckich, zakonnych i kleryków. Nad grobem przemówił znowu ze zwykłą sobie siłą i uczuciem, ks. Błonarowicz a po nim p. Rzeszódko, kierownik szkoły w Oświęcimiu, imieniem nauczycielstwa.

(1) Wyjątek z mowy pogrzebowej, jaką nad grobem ś. p. ks. Knycza wypowiedział ks. prob. Błonarowicz.

Donosząc naszym Przezacnym Czytelnikom o tych dwóch bolesnych stratach, jakie w ciągu jednego tygodnia zakład oświęcimski i całe zgromadzenie salezyańskie poniosło, wzywamy wszystkich, a osobliwie ich uczni, znajomych i przyjaciół, aby wraz z nami zmówili za ich dusze pobożną modlitwę.

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

MISYE SALEZYAŃSKIE

Historya Misyi Salezyańskiej w Ziemi Ognistej.

(*Przez X. Beauvoir, Misyonarza Salezyańskiego.*)

(*Ciąg dalszy*).

Prześladowanie Indyan. — Strzały. — Zabici. — Poddanie się. — Liczba więźniów. — Ushuwaja.

Upłynęło kilka dni, aż pewnego wieczoru wpadło do misyi kilku Indyan zdyszanych i powtarzających: „Komisarz i chrześcijanie (t. j. kapitan i jego żołnierze) bardzo źli, ponieważ *bom, bom, bom*“ (1). Zrozumieliśmy zaraz, że kapitan musiał się dopuścić owych haniebnych okrucieństw, którymi groził, i że niejeden Indyanin musiał paść ofiarą jego dzikości. Nieco później opowiedział mi sam komisarz policyi, że kapitan ścigał silny szczep indyański, pędził go ku rzece *Riochico* i po wymianie strzał i kul wziął ich do niewoli i odstawił do zatoki św. Sebastyana, gdzie ich trzymano, aż zawinął statek płynący do Ushuwaji.

Jeden z żołnierzy, którzy brali udział w tej wyprawie, opowiedział mi później, co następuje: „Drugiej nocy po naszym wyjeździe z misyi staliśmy ukryci za pagórkiem, gdy nad blizkim lasem ujrzeliśmy powiększające się z każdą chwilą światło: była to łuna, wśród której ukazywał się od czasu do czasu wysoki słup płomienisty.

— Indyanie, Indyanie, szeptnęliśmy sobie.

— Wpadli nam w ręce, mruknął ponury kapitan i kazał czuwać całą noc. Przed świtem wyruszyliśmy dalej, posuwając się bardzo powoli i ostrożnie. Po godzinie dotarliśmy na miejsce, na którem było pełno śladów indyańskiego postoju, ale ani żywej duszy. Tylko niedogaszony ogień wskazywał, że Indyanie nie muszą być daleko. Zwróciliśmy się więc zaraz ku północy, bo z wyciśniętych na mokrej łące śladów można było dójść, iż ruszyli w tym kierunku. Jechaliśmy dwie godziny. Zorze były na niebie a powietrze przesycało się złotem światłem, gdy w surowej mgle, leżącej na nizkich brzegach rzeki zaczął się poruszać jakiś czarny przedmiot. Z początku nie mogliśmy rozeznać, czy to człowiek albo zwierzę, ale mgła rzedniała coraz bardziej i po chwili spostrzegliśmy drugi taki przedmiot, potem trzeci a wreszcie całą gromadę Indyan, spieszących ku rzece. Zaczęliśmy bość ostrogami konie, pomknęliśmy i wkrótce szliśmy jak wicher. Ale pogoń nie uszła uwadze uciekającej dziczy, która przebrnąwszy rzekę, zdążała pospiesznie ku blizkiemu wzgórzu. Nim trafiliśmy na bród, nim dopadliśmy drugiego brzegu i skoczyli dalej, Indyanie zajęli strategiczne wzgorze i otoczyli się wałem, za którym gotowali się do zaciętej walki. Skorośmy się zbliżyli na strzelenie z łuku, rozległ się dziki krzyk na wgórzu i na wałach ukazały się głowy i skierowane

(1) Tym wyrazem *bom* oznaczają zwykle Indyanie fueginscy odgłos wystrzałów.

ku nam łuki. Zaczęły świstać strzały. „Ognia,“ krzyknął wtedy nasz kapitan. Salwy karabinów stały się coraz gęstsze, Indyanie padali coraz gęstszym trupem. Wreszcie ruszyliśmy do ataku. W tej chwili na wałach stało się coś nadzwyczajnego. Wojownicy, cisnąwszy o ziemię swą broń, powstali z kobietami na wałach i poczęli wyć przeraźliwie o litość. Dobiegliśmy i bez oporu zajęliśmy całe obóz. Ale zdziwienie ogarnęło wszystkich, nie widząc tych licznych chłopców, których zauważyliśmy między nimi podczas pogoni. Oble-



Indyanin z Candelary (Ziemia Ognista).

cieliśmy całe wzgórze, ale nie odkryliśmy żadnego śladu, żadnej kryjówki. Co się z nimi stało? Jakim sposobem znikli? Czy nie stoimy wobec czarnoksiężników? Na tę myśl zgroza wkradała się do serc, przerażenie malowało się na twarzach. Z drugiej strony te rozpaczliwe krzyki, ten płacz i to straszne zadawanie sobie bolesnych ran, które powstało między Indyankami, zapewniało nas, że mamy do czynienia z jakąś straszną zagadką. Wtem pewien żołnierz zauważył na ziemi ślady świeżego kopania.

— Oni leżą pod ziemią, zakrzyknął przeraźliwie.

— Kopać, kopać, zabrzmiało wokoło.

Z biciem serca zaczęto odgrzebywać biedne dzieci fuegińskie. Najprzód wydobyto pięcioletniego chłopczyka, potem młodszego, wyciągnięto trzeciego... i nakoniec z strachem i radością zarazem znaleziono wszystkich. 96 Indyan obu płci i różnego wieku tworzyło zastęp więźniów, których z zatoki św. Sebastyana wysłano statkiem do głownego miasta południowego Ushowaja.“

Lecz wielka ich część zdołała czy to w zatoce czy w Ushowaji odzyskać wolność i donieść nam o szczegółach zdarzenia. Gdy w październiku 1896 r. byłem w Ushowaji, otoczyli mię pozostali biedacy i wyrażając mi swą miłość i wdzięczność za otrzymane dobrodziejstwa, żałowali, że nie usłuchali mych przestróg. Przy ich pomocy skłoniłem czterdziestu innych tubylców do przyjęcia chrztu św.

Zemsta komisarza. — Magellano.

Bohaterski komisarz uczuł się głęboko dotkniętym stanowiskiem, jakie w tej sprawie zająłem. Moje stanowcze słowa, to moje oświadczenie się bez ogródki za prześladowanymi Indyanami były jego zdaniem lekceważeniem jego władzy i obrazą tak ciężką, że jej tego pokroju człowiek płazem puścić nie mógł. Wystosował więc do swych starszych protokół, w którym odgrywałem rolę wichrzyciela, rebelizanta. Równocześnie ogłosił w jakimś dzienniku w Buenos-Aires sprawozdanie ze swej czynności i znowu twierdził, że O. Józef Marya Beauvoir, dyrektor misyi w Rio Grande, miasto bronić powagę rządu, podkopuje jego zbawienną działalność, krzewi między Indyanami niepodległość, bunty i zbrodnie, ukrywa w swem mieszkaniu morderców i jako człowiek podejrzany i niebezpieczny powinien być jak najrychlej skazany na wygnanie.

O tej zemście komisarza dowiedziałem się potem od czytelników *Magellana*. Dziennik ten, wychodzący w Puntarenas, mając za główny cel odbijać wszystkie gadaniny, jakie w świecie na niekorzyść zgromadzenia salezyańskiego powstają, przytoczył także, rozumie się, w znacznem spóźnieniu, artykuł wzorowego komisarza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wycieczka misyjna do stanu Goyaz (Brazylia).

(List ks. Antoniego Malana).

(*Dokończenie*).

Powrót nasz miał nastąpić 26go września, ale gwałtowna burza, zjawisko w tych krajach podwzrotnikowych bardzo częste, pomyliło nasze rachuby, nadając podróży niespodziewaną powolność. Mądrość jednak i Dobroć Boska umiała i z tego przykrego i na pozór błahego zdarzenia wyprowadzić fakt



Indyanin z Candelary (Ziemia Ognista).

bez porównania ważniejszy, pożytek duchowny niektórych osób. Pewnego bowiem dnia spotkaliśmy w puszczy ku wielkiemu naszemu zdziwieniu księdza z kilku osobami. Był to misyonarz francuski O. Karol Bourel, od siedmiu lat przebywający w puszczach Rio Claro (dyecezya Goyaz). Oddany najzupełniej swemu apostolstwu nie mógł od dwóch lat mimo sumiennych poszukiwań, znaleźć żadnego kapłana i nie mógł wskutek tego odbyć spowiedzi rocznej. Rozpromieniony radością, opowiadał dziwne dzieła swej gorliwości, dokonane w terrytoryum, będącem jakby norą złodziei i łotrów, którzy się tam z całej Brazylii zbierają. Cierpienia jego kto zliczy? kto spisze jego niedostatki? Trudy kto przekaże przyszłości? Chwilkę czasu spędzoną w naszem towarzystwie zaliczał do najpiękniejszych w swem życiu. Ależ nadeszła godzina rozłączenia się, godzina bolesna dla serc związanych jedną godnością, jednym urzędem, posłannictwem, losem i jedną nadzieją.

Po odprawieniu jednej tylko mszy św., bo na drugą zabrakło wina, pożegnaliśmy ludność osady Registro, pożegnaliśmy rzekę Araguaya, tamtejsze kraje i puszcze, gdzie duch kapłana maleje i niemal do nicestwa się uniża wobec niezmierności pracy apostolskiej, jakiej tam zachodzi potrzeba. Tylko bezwzględne zdanie się na wolę Bożą, może ulżyć bezdennemu smutkowi, w jakimby się wobec tego chciał pogrążyć duch gorliwego misyonarza. O! jakich zmian moralnych możnaby tu dokonać, gdyby bogatsze sfery starego i nowego świata szły krok w krok z wysłannikami wiary i umożebniali ich utrzymanie w przestworach leśnych.

Misya była ukończona. Dotarłem do osad nawiedzanych i napadanych przez Indyan, przeprowadziłem wybór miejsca na naszą misyonarską osadę Najsłodszego Serca Jezusowego, naznaczyłem i skreśliłem z gruba plan przyszłych zabudowań a przytem, wpłynąłem na pożytek duchowny ucywilizowanych rodzin, tu i ówdzie zamieszkałych a zajmujących się jedynie pracą ręczną... A Indyanie? Dlaczego milczałem dotąd o nich? Co ukrywa się pod tem złowrogiem milczeniem? Stronica historyi zbryzgana krwią ludzką, stronica przy której pisaniu drżę jak listek! Ale przyszła godzina jej skreślenia, darma ta zgroza, darmy ten wstręt, ten smutek. Wyobraźnia jeszcze się wzdryga na wspomnienie strasznych tragedyi, w których rolę czynną i bierną odgrywali ucywilizowani i Indyanie, poczciwe rodziny chrześcijańskie i najpodlejsi zdrajcy, tacy złodzieje i zbrodniarze jak Borörös i ludzie tak cisi a postępowi jak osadnicy zajęci uprawą pól. Rzeczywiście febra mnie napada, gdy rozważam, że w chwili własnie, kiedy piszę niniejszy list, okrucieństwa te rozgrywają się w dalszym ciągu, że w tej chwili właśnie niejeden może strażnik linii telegraficznej umiera pod ciosami nieubłaganej indyańskiej siekiery, że te pokoje, które nas gościnnie przyjmowały, są zalane krwią ich mieszkańców a ich płomienie trawią porozrzucane po podłodze części ludzkich trupów. Spowiedzi przeze mnie wysłuchane były to po części ostatniemi spowiedziami, ta Komunia św. rozdzielona w czasie wycieczki była dla niektórych wiatykiem, ostatnią przysługą kapłana, ostatnim uroczystym aktem

wiary. Jedni umierają po katuszach powolnego i stopniowego rozczłonkowania, inni przeszyci strzałami gasną nagle, jak gwiazdy spadające. Ale na jakiej podstawie opierają się te przypuszczenia?

Wystarczy przytoczyć prosty opis jednego faktu z ubiegłych rzezi. Zaznaczam przy wstępie, że niemal we wszystkich miejscowościach, w którycheśmy się zatrzymywali, poczynając od Caprino Branco a kończąc na Registro, wznoszą się krzyże, kupy kamieni i mogiły, znaczące wspólny grób ludności ucywilizowanej zabitej przez Borörösów. Od Barreiro do Registro p. Piotr Fernandez pokazał mi dwanaście miejsc, gdzie Borörösowie napadli to na żołnierzy, to na straże linii telegraficznej, to na samych nawet spokojnych rolników.

Już od samego odkrycia Matto Grosso, okrutne pokolenie Coradosów zapisało się tak krwawemi literami w historyi badaczów przyrody brazylijskiej, że wielka liczba ich olbrzymich, zapalczywych wojowników, ich popęd do zemsty i do zdrady względem dobrodziejów nabrały szerokiego rozgłosu. Nawet oddziały regularnego wojska musiały temu plemieniu z drogi schodzić. W imieniu publicznej zemsty, sprawiedliwości i dobra wspólnego zorganizowano już olbrzymie wyprawy, które miały za cel ostateczny zatopić raz na zawsze dzikie, nieludzkie, okrutne instynkty tego pokolenia w krwi wytoczonej z ostatniego jego przedstawiciela. Lecz daremne były porywy gubernatorów, nakłady rzeczypospolitej, przebiegłość dowódców i waleczność wojska.

Jak powszechnie twierdzą, ostatnie napady wywołane zostały pragnieniem zemsty za zbrodnię, której się w r. 1890 dopuścił pewien osadnik ze stanu Goyaz. Zgromadziwszy przeszło 200 Indyan, zaprowadził ich ten łotr w dzień niezwykłego upału do umyślnie zatrutego źródła. Biedna dzicz uwiedziona świeżością i przejrzystością wody napiła się do woli i wyginęła zupełnie. By wywrzeć zemstę za tak nieludzki występek, który w prasie brazylijskiej znalazł potężnych orędowników, Indyanie pomordowali wszystkich białych, którzy nie zdołali ujść niespodziewanej napaści. Więc wyginęły całe rodziny a palące się wieczorami domki oświecały kupy Indyan pastwiących się nad swemi ofiarami. Nawet rolnicy, którzy dla swej ofiarności, cieszyli się pierw u Indyan pewnymi względami, zostali teraz w pojęciu egzaltowanej dziczy zrównani z innymi osadnikami.

W kilka miesięcy przed naszem przybyciem do Araguaya rodzina p. Emanuela Ignacio uległa całkowicie zagładzie, z wyjątkiem jednej służącej, która ocalała dzięki swej wielkiej odwadze. Wracała własnie z wodą od rzeki, gdy nagle słyszy powstające w domu krzyki, wycia, jęki. Spieszy czemprędzej wpada do izby, ale straszny widok osadza ją na miejscu. Na ziemi leży bezkształtna masa trupów pociętych do niepoznania. Tuż przy drzwiach leży sam gospodarz, poczciwy, sędziwy starzec; dalej kobiety z niemowlętami i jego synowie, którzyby niejednego byli powalili Indyanina, gdyby napad nie był nastąpił tak nagle. Co się stało? Kupa Indyan, oddawna zebrana w lesie, wyzyskała chwilę, gdy wszyscy spali, by napaść na dom pana Ignacio. Biednego starca wyrwano z łoża i zabito uderzeniami maczugi, innych poprzebijano na wylot ogromnymi nożami. Następnie wzięli się Indyanie do rabowania tak, iż służąca mogła niespostrzeżenie wejść do domu. Mówią i jest to zdaniem powszechnie przyjętem, że murzyn nie jest odważny; jeżeli to prawda, to koniecznie zgodzić się trzeba na wyjątki, owa kobieta bowiem była murzynką a jednak okazała odwagę iście rycerską. Na tak wzdrugający widok nie przelękła się, lecz wystawiając się na największe niebezpieczeństwo, narażając się na okropną śmierć, udaje się na miejsce, gdzie jej pan przechowywał strzelbę, chwyta broń i daje ognia do nadchodzących Indyan, którzy bojąc się strzelby więcej niż samej śmierci, uciekli czemprędzej i znikli w gęstym lesie.

Pomimo takiego nastroju umysłów indyańskich p. Clarismondo utrzymywał jeszcze w tych okolicach domek, w którym już od kilku lat żył spokojnie i szczęśliwie. Zaglądali do niego często Indyanie i odchodzili zawsze rozepchani różnego rodzaju strawami. Jednego dnia siedział on jak zwykle pomiędzy kilkudziesięciu Borörösów, którzy najadłszy się do woli i nażyczywszy mu wszelkiej pomyślności, zażądali jeszcze *zapadurę* t. j. kawał ciemnego cukru w kształcie cegły. P. Clarismondo, wiedząc, że po odbytej uczcie było im to zupełnie zbyteczne, uznał za stosowne odmówić przysługę. Ta pozorna niegrzeczność posłużyła Indyanom za rzekomy powod do spełnienia dawno obmyślonych pla-

nów. Rzuciwszy sobie wzajemnie słówko zachęty i instrukcyi, uderzają po dwóch na każdą z czternastu osób składających rodzinę gospodarza. Trzec i najsilniejszych napada samego p. Clarismondo, który cięty w nogę, uderzony pałką w głowę, pchnięty nożem w same piersi, osłabiony utratą krwi, nie traci jednak nadziei i pragnienia życia. Instynkt samozachowawczy, rozpacz i pewna żądza zemsty dodają mu siły: potężnem wierzgnieniem obala jego napastnika, potem wydobywszy z swej rany morderczy nóż, zatapia go w brzuchu drugiego Indyanina i zmusza trzeciego do szalonej ucieczki. Następnie przyciskając gwałtownie lewą rękę do rany a w prawicy dzierżąc zabójczy nóż, szalony, zlany krwią, bieży na pomoc swej matce i małym braciom, umierającym już niemal pod ogromnymi kijami Indyan. Zabija znowu jednego Borórösa, rani ciężko drugiego i straciwszy resztę sił, pada na ziemię. Ale ten sam upadek otrzeźwia go i ożywia; z zakrwawionemi oczyma, z zamglonym wzrokiem ogląda się, ale nie widzi morderców. Indyanie uciekli, myśląc że to czerwone widmo, które ich tak dziesiątkuje, jest jakąś istotą nieśmiertelną. Nieszczęśliwy p. Clarismondo wstaje i znalazłszy woreczek soli, rozpuszcza ją w wodzie i myje sobie rany. A co się stało z matką i z braćmi? Dziesięcioletni chłopiec leży z rozbitą czaszką: jego mózg zbryzgał całą podłogę. W ognisku leży niewinne dziecię, poparzone i przykryte popiołem. Inny syn ma nogi połamane a stara matka, uderzona kilkakrotnie w głowę, wyzionęła była ducha. Wszyscy inni są pokrycie ranami, ale żyją i wołają o pomoc. P. Clarismondo, który z awantury wyszedł najzdrowiej, zamykając jedną ręką swą ranę w boku, drugą umywa głowę matki, wydobywa dziecię z ogniska, podnosi okruchy głowy swego brata, chodzi od jedn ego do drugiego, i zapominając o swych bólach oddaje się zepełnie na usługi żyjącym jeszcze członkom swej rodziny. Jakoż wszyscy przyszli do zdrowia, nie wyjąwszy samego gospodarza, któremu nóż cudem nie naruszył w piersiach żadnego organu.

Fakt ten opowiedział mi dokładnie sam p. Clarismondo, przedstawiając mi całe awanturnicze towarzystwo z niedogojonemi jeszcze ranami. Wszyscy słuchali z wielką pobożnością Ofiary św. na podziękowanie Bogu za zachowanie życie, na uproszenie wiecznego spoczynku dla poległych i nawrócenia dla dzikusów.

Jeszcze dwa krwawe rządki. Serce Twoje, ukochany ojcze, ściska się napewno od bólu, ale ja muszę Ci wszystko wyznać, bo to moja powinność, bo Ty musisz wiedzieć, jakiej pomocy potrzebują biedni Indyanie.

Zemsta, której się z rozkoszą oddają Indyanie nie znający przepisów prawa Bożego, nie jest charakterystyczną cechą samych tylko ludzi, zaćmionych pogaństwem, dzikością i zabobonem, lecz często owłada gwałtownie także serca ucywilizowanych i jako burza szalona, jako opętany huragan niesie ich do wstrętnych okrucieństw. Wykazało się to w następnem zdarzeniu okropnem ale prawdziwem. Zaledwie rodzina Clarismondo przyszła na tyle do zdrowia, by podjąć długą podróż, uciekła w delekie strony. Lecz p. Clarismondo nie zrzekł się tem samem zemsty. Zakołatawszy bezskutecznie do rządu o pomoc, zbiera szesnastu chłopów, uzbraja ich po żołniersku i z nimi zagłębia się w puszczy, celem wyszukanie Indyan, którzy mu się takiem barbarzeństwem za gościnność byli odpłacili. Nikt nie wiedział o ich pochodzie. Pewnego wieczoru spostrzegają ślady dwóch dzikusów, którzy przed chwilą byli łowili ryby w rzece Barreiro. Idąc w ich ślady, stają późną nocą przed ośmnastu *ranchos* (namioty). Pochodnia paląca się przed obozowiskiem wskazuje, że Indyanie leżą pogrążeni we śnie. Postanowił wtedy p. Clarismondo zaczekać do rana. Przed świtem zbliżają się ostrożnie do osady. Jakiś Borörös rozpala ogień, bucha wystrzał i Indyanin jakby gromem rażony pada nieżywy na zieloną murawę. Na ów wystrzał reszta Indyan zrywa się ze snu i wybiega z chat, ale dalsze strzały kładą ich trupami. Zorza zabarwiła czerwono wschód nieba, a krew indyańska zabarwiła szkarłatno uśmiechniętą florę lasów. Rozbudzona zajadliwość nie zna granic, niszczy nawet możliwość litości. Niejeden zgrabny Indyanin wdrapuje się czem prędzej na drzewo, aby się wsród gęstych liści ukryć i ocalić życie. Ale nie uchodzi to iskrzącemu się oku napastnika. Śmiertelne pociski dosięgają ich wśrod konarów i drgające ciała ich spadają z głuchem łoskotem na ziemię. Przeszło stu Borörösów, mężczyzn, kobiet i dzieci poległo owego poranka. Zlani krwią ludzką, upojeni jéj wyziewami, przedzą przedstawiciele cywilizacyi po tru-

pach, wstępują do obozowiska i poddają każdy *rancho* ścisłemu przeglądowi. W jednym znajdują omdlałą kobietę z dzieckiem w ręku. Olbrzymi nóż przebija jej piersi, wystrzał kładzie kres jej życiu. Nawet niewinne niemowlę nie wzbudziło litości i nie uszło zabójczych noży napastników...

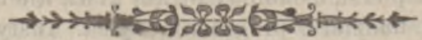
Oto, najdroższy Ojcze, obrazki z życia indyańskiego; nie są one wierne, bo są za blade. Są to wypadki zaszłe przed kilku miesiącami: trzy tygodnie temu powtórzyły się a w obecnej chwili kto wie, ilu Indyan przeszytych kulami i nożem przebitych kona, przeklinając białych i ich cywilizacyę. Łatwo więc zrozumieć, dlaczego w podróży nie napotkaliśmy ani jednego Indyanina. Wszyscy Borörösowie, zatrwożeni rzezią towarzyszy, cofnęli się do nieprzystępnych głębin leśnych, gdzie zapalczywie dniem i nocą szykują łuki, gotują strzały, maczugi i wszelkiego rodzaju broń do napaści i obrony. Biali, oddaleni dwadzieścia, trzydzieści i pięćdziesiąt kilometrów od większych osad, drżą od strachu: wielu już uciekło a inni umykają na złamanie karku. Ostatni telegram z Barreiro jest bardzo wyraźny i zatrważający: „Wczoraj Indyanie ścigali strażnika Magalhaes, jego życie jest wystawione na największe niebezpieczeństwo. Fernandez.“ — Obawy więc, że może nastąpić powstanie całego plemienia mają swoje znaczenie i racyę bytu. Niech nas Bóg i Matka Boska, Wspomożycielka Wiernych, strzegą od takiej okropności.

Kończąc niniejszy list o podróży z Cuyabà do Araguaya, błagam Cię, najdroższy Ojcze, o szczególniejsze modlitwy za misye w Matto Grosso. Proś, Przewielebny Ojcze, Najśw. Maryę P., Wspomożycielkę Wiernych, by pobłogosławiła naszemu nowemu przedsięwzięciu, do którego przystępujemy z wielką gorliwością i zapałem. Ufam też, że raczysz wesprzeć nasze siły dobranym zasiłkiem personalu. Gdy niniejszy list wręczony Ci zostanie, misyonarze i Siostry Najśw. Wpomożycielki Wiernych, dążący pod kierownictwem niezmęczonego ks. Balzoli do przyszłej osady Najsł. Serca Jezusowego, będą już od kilkunastu dni w podróży. Potrzebujemy więc, by nas Bóg chronił od wszelkiego niebezpieczeństwa duszy i ciała. Módl się zatem, ukochany Ojcze, za tych misyonarzy i przy sposobności przemów za nimi do Przezacnych Pomocników naszych. — Pobłogosław wszystkich swych synów pracujących w Matto Grosso, a szczególnie

najoddańszego w Sercu Jezusa

ks. ANTONIEGO MALANA.

Cuyabà, 28go października 1901.



JAMAIKA (Wielkie Antylle).

Wiadomości o nowej misyi salezyańskiej, wyjęte z listu br. Eugeniosza Tedeschi'ego.

Montego-Bay, 7go czerwca 1902 r.

JAMAIKĘ, zwano perłą Antyll (1), ziemią wabiącego uroku, wieczną wiosną, ogrodem tassowskiej Armidy; i słusznie. Zielona szata, której nigdy nie składa, niewidziana bujność roślinności, cudne sady bananów, kawy, drzewa farbowe, pierzaste kokosy, najsmaczniejsze owoce, prześliczne niebo, nocy cichutkie i pogodne, ułożenie ziemi w doliny i pagórki skłaniające się ku morzu, małe, górskie strumyki i czarowne jeziora, wszystko to zdobyło Jamaice tak chlubne nazwy. Wyspa ta niegdyś kwitnąca zubożała. Upadek przemysłu i handlu zaczął się już sprawdzać od r. 1836; powstanie w 1865 r. pogorszyło stan rzeczy a obecne ogromne podatki zadusiły niemal zupełnie handlowe znaczenie wyspy. Europejczycy ją opuszczają: wielkie posiadłości, które wzbogaciły tyle pokoleń, leżą odłogiem, rzec nawet można, że dwie trzecie części wyspy zostały opuszczone, zaniedbane. Zwaliska fabryk cukrowych porosły dziką trawą, pokrzywą, ciernistymi krzakami; na około chylącego do się upadku komina leżą w nieładzie, w rdzy i zapomnieniu połamane rury, koła, sztaby, pompy i najróżniejsze cząstki maszyn zniszczonych, pogruchotanych. Ów komin czyni wrażenia olbrzyma, stojego na ruderach swego zburzonego zamku i dumającego nad

(1) Antylle, gromada licznych wysp, leżących pomiędzy północną a południową Ameryką, ciągnących się obszernym łukiem od wybrzeży Jukatanu aż do ujść Orinoko i otaczających morze Karybskie. Odkryte 1492 przez Kolumba, w 1511 zajęte przez Velasqueza, obejmują 229, 943 klm.² i liczą 5.500.000 mieszkańców. Dzielą się na dwie grupy: *Wielkie* i *Małe Antylle*. Do pierwszych należą cztery wyspy: Jamaika, Kuba, San Domingo albo Haiti i Portoriko. Wszystkie są górzyste. Małe Antylle składają gromadę 40 wysp mniejszych. Nazwa ich pochodzi od bajecznej wyspy *Antiglia*, oznaczonej na bardzo dawnych kartach morskich. Jamaika należy do Anglii; na jej czele stoi gubernator, rezydujący w Kingston.

porozsypywanemi po ziemi szczątkami swej połamanej od wieku broni.

Ludność składająca się prawie wyłącznie z negrów i kreolów, wywodzi się z niewolników murzyńskich, których przywóz trwał od wielku XVII aż do roku 1807. Ich wyswobodzenie nastąpiło 1go sierpnia 1838 i to w ten sposób, że ich panowie otrzymali odszkodowanie po 394 marek za głowę. Tutejszy murzyn jest pięknej urody, wysoki, mocny i żywy, wytrwały, niewymyślny, towarzyski; rysy jego twarzy, przypominające z daleka Hamitów, i jego czarny, przyjemny kolor odbijają od rysów kaukaskich i pomarańczowej barwy mieszańców. Główną wadą murzynów jest przepych w ubiorze; gdy wychodzą z domu wydają się panami, ich ubiór wtedy jest biały jak śnieg, wyprasowany, wyszukany. Wielu nosi nawet kamaszki według ostatnich przepisów mody, chociaż większa część chodzi boso. Nie są bogaci, ani ze wszystkiem ubodzy; mają niewielkie posiadłości, własne lub najęte, na których uprawiają troskliwie kawę, słodkie dynie, ziemniaki, kukurudzę, groch, kokosy, kapustę it. d. Mieszkają w małych, jednopiętrowych domkach, opartych na czterech filarach wybudowanych z kamieni i cegły, albo też na słupach drewnianych. Boją się niezmiernie wilgoci i febry, przeciw której zażywają różnych soków i napojów przygotowanych z różnych ziół. Obyczaje ich są podupadłe, niemal rozpasane. Jako dobrzy protestanci święcą niedzielę, chodzą do kościoła i nie klną nigdy.

Wieczorem jednej niedzieli, idąc z ks. Deehan na przechadzkę po wybrzeżu morskiem, trafiliśmy na wioskę złożoną z niewielu ubogich domków. Na zakręcie drogi ujrzeliśmy wielkie białe koło ludzi, w środku zaś jakiegoś człowieka, prawiącego wyniosłym głosem kazanie protestanckie. Byli to murzyni, którzy nie posiadając w osadzie kościoła, urządzali sobie nabożeństwo pod gołem niebem. Ilości kościołów protestanckich na tej wyspie dokładnie oznaczyć niepodobna: można je spotkać na każdym kroku. Niezliczone są również wszystkie te różne odłamy i odcienia protestantyzmu, a więc te różne religie, które się biedną czarną ludnością, jakby stadem owiec, podzieliły.

Trudności, jakie napotyka misyonarz.

Nawróceniu murzynów stoją na przeszkodzie strasznie nizki poziom moralności i błędna nauka, jaką pastorowie wpoili w ich umysły, że wiara i jej doskonałość polega zupełnie na niektórych uczynkach zewnętrznych. Duchowieństwo protestanckie zakłada kościoły po drogach i jakichbądź rynkach. Trąba jest zwykle wabikiem zwołującym liczne zastępy ludu, który przy grze bębna, fletu lub klarnetu śpiewa, zapala się, wpada w szalony fanatyzm i bezgraniczną wesołość. Przy naszem mieszkaniu przez całą noc i dzień Bożego Narodzenia huczał bęben i brzmiały śpiewy. Pastor wypełnia doskonale swoje obowiązki, gdy w niedzielę zajrzy do kościoła, palnie kiedy kazańko, zmówi nad zmarłym jakieś króciuteńkie modlitewki, odprowadzi jego zwłoki do grobu, jadąc parokonnym powozem i bierze swoje honoraryum.

Po śmierci pewnej katoliczki, uwiadomiła mnie jedna staruszka, iż jeżeli nie przyjdzie na pogrzeb ksiądz katolicki, to nie omieszka przybyć jaki pastor. Poszedł nasz ks. Deehan. Ale przed wyruszeniem z domu przyszło oświadczenie od zarządu cmentarza, że kapłan katolicki nie może odprowadzać zwłok na cmentarz protestancki. Pokropiwszy tedy zmarłą i zmówiwszy modlitwy rytualne, musiał się ks. Deehan usunąć i ustąpić miejsce pastorowi. Niestety katolicy nie mają ani kościołów ani cmentarzy! Zaprawdę smutne jest położenie katolicyzmu na Jamaice!

Murzyni zamieszkali w osadach oddalonych od miast i wiosek, chowają umarłych, gdzie im się spodoba: za domem, pod drzewem, w gaiku. Pewnego dnia przechodząc niedaleko naszej posiadłości, usłyszałem nieustanne bicie kilofa o skałę. Zbliżam się i spostrzegam ośmiu chłopów zajętych kopaniem dołu tuż pod drzewem, między krzakami kawy, o parę kroków od chałupy. Byli to ludzie, którzy o tej godzinie mieli pracować w naszej kolonii rolniczej. Powitali mnie zwykłem *good morning* (dzień dobry) a zapytani o przyczynę tej niezwykłej roboty, odpowiedzieli, iż po śmierci jakiegobądź osadnika zbierają się wszyscy do kopania dołu i nie odchodzą aż go pochowają. Zaciekawiło mnie to bardzo. Gdy jeden się zmęczył, drugi go wyręczał, po drugim następował trzeci i czwarty. Wybierają sobie w takich razach mistrza obrządku, który z biczem w ręku kieruje robotą, smagając każdego, kto nie wypełnia należycie swego obowiązku. Ale cała ta praca pozbawiona jest wszelkiego uszanowania dla zmarłego, nie masz w niej żadnego objawu przywiązania, żadnego znaku religii. W paleniu cygara i w głośnych wybuchach śmiechu bierze udział także ojciec zmarłego syna, który nieprzykryty leży między łopatami na nędznej pościeli. Oszedłem zasmucony tym brakiem czci dla rzeczy najpoważniejszych, a kiedy po kilku dniach przechodziłem tamtędy ujrzałem dwie palmy kokosowe złożone na nędznej mogile, której ślady i pamięć zginą wkrótce pod napornem działaniem ulewnych deszczów.

Przeciw takim zwyczajom protestantyzm nie widzi potrzeby podnosić głosu.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Marya, Wspomożycielka Wiernych, nie musiałaby być Matką Boską, gdyby nie miała być możną. Udawajcie się przeto do niej wy młodzieńcy i dziewice, a Ona doprowadzi was do tego, że zawsze w bojaźni Bożej, w czystości serca i świątobliwości żywot wasz wieść będziecie. Uciekajcie się do niej wy, ojcowie i matki i uczcie się od niej jak to wychowywać macie dziatki wasze, jeśli wyrość mają na pociechę i chlubę waszą, na pożyteczne członki społeczeństwa, na ozdobę Kościoła i podporę Ojczyzny. Chodźcie do niej i wy, uciśnieni i znękani przeciwnościami żywota, a ona pocieszy was w utrapieniach waszych i niedoli. O chodźcie, chodźcie wszyscy do Maryi, którzy stękacie, ponosząc ciężar dnia i życia, którzy uciążacie sobie pod tym krzyżem, którym dotknąć i nawiedzić was spodobało się Bogu; chodźcie do Maryi, ona będzie wam ulgą i pomocą, ona osłodą życia waszego, Wspomożycielką Wiernych!

Głos wdzięczności.

Najpokorniejsze dziękczynienie postanowiliśmy złożyć Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za łaskawą jej pomoc, jakiej nam udzieliła w odpornej walce z nieprzyjaciółmi. Jej to jedynie, tej Matce cudownej, mamy do zawdzięczenia obecny stan, iż z honorem odparliśmy od siebie ludzi złych, nieuczciwych, bez wiary, którzy niewinnie nas przez trzy lata przez zazdrość prześladowali. Jako cudowna, czuła Matka, opiekowała się nami od początku naszego życia, to też i teraz udajemy się pod jej najświętszą opiekę aby nas od złych nieprzyjaciół broniła, od każdego nieszczęścia ochraniała i przy dobrem zdrowiu utrzymywała. Posyłamy cztery korony na Mszę świętą, którą prosimy odprawić przed ołtarzem Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych, i prosimy o umieszczenie tej łaski w *Wiadomościach Salezyańskich.*

Bronica, 15 października 1902.

Wiktor i Józefa Szymańscy.

Z po za Alp.

Przejęty wdzięcznością za różne liczne, a przytem nader ważne otrzymane łaski, pozwalam sobie złożyć publiczne podziękowanie w łamach naszego pisma, aby tym sposobem spłacić choć w części dług, który na mnie ciąży, a zarazem aby stwierdzić ponownie tę pocieszającą prawdę, iż każdy, wzywający pomocy Maryi, Wspomożenia Wiernych, zostaje wysłuchany.

Ivrea (Włochy).

Kl. L. P.

***

Załączając 5 koron, proszę pięknie o łaskawe odprawienie Mszy św. przed cudownym obrazem Matki Boskiej, Wspomożenia Wiernych. Mam zwyczaj, że w trudnych warunkach życia uciekam się zawszę do naszej Najśw. Maryi Panny, prosząc Ją o pośrednictwo do Serca Jezusowego, i już wielokrotnie doznałam jej opieki dla swoich ukochanych i dla siebie samej. Moja matka od jakiegoś

czasu cierpiała, dziś już zdrowszą się czuje, gdy ją oddałam opiece Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych. Za te liczne łaski proszę Wielebnych Ojców Dobrodziejów podziękować w czasie Mszy świętej i prosić o dalszą opiekę. Jeśli to możliwe, to proszę W. Ojców Dobr. umieścić moje podziękowanie w swych *Wiadomościach Salezyańskich.*

Łącko (Galicya), 27. października 1902.

F. Pawlikowska.

* * *

1) Będąc na posadzie 9 mil odległej od rodzinnej wioski, pragnąłem dostać się do swoich. Wniosłem prośbę do swej władzy, lecz mi odmówiono; po drugiej prośbie, przyrzeczono mi przeniesienie o milę od mej wioski. Prosiłem na tę intencyę księży Salezyanów i ich wychowanków w Oświęcimiu o nowennę. Nadto udałem się do P. Jezusa po raz trzeci upadającego w Kalwaryi Żebrzydowskiej, łaskami słynacego, prosząc przez przyczynę Matki Jego i ślubując zarazem, gdy otrzymam przeniesienie do swoich, podziękować w *Wiadomościach Salezyańskich* i *Intencyach miesięcznych.* Za miesiąc ku wielkiemu zdziwieniu dostałem przeniesienie w najpożądańsze miejsce o którem ani nie myślałem, gdyż miejsce to nie było wolne i jest najbliżej mego domu rodzinnego, zaledwie 300 metrów od tej posady oddalonego.

2) Córka moja licząca pół czwarta roku, miała angielską chorobę: o chodzeniu jej nie było nadziei. Poleciłem ja modlitwom dziatwy salezyańskiej, prosząc na jej intencyę o nowennę. W 5tym dniu nowenny, poczęła się przechadzać i od tego dnia biega coraz to swobodniej.

Tak za te dwie, jak i za wiele innych łask składam najgorętsze podziękowania N. Sercu P. Jezusa i Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych.

Piszczowa (Galicya).

I. S.

* * *

1) Dziękuję z całego serca Matce Bożej, Wspomożeniu Wiernych, Najsłodszemu Sercu P. Jezusa i św. Józefowi, że za Ich łaską cudowną doznałam ulgi ogromnej w cierpieniu, które mnie od lat kilku trapiło, mimo starań i pomocy lekarzy. Dzisiaj mogę wykonywać z łatwością wszystkie zajęcia domowe, a często także się zdarza, że cierpienie ustępuje zupełnie.

2) Najgorętsze dziękczynienie składam Matce Bożej, Wspomożeniu Wiernych, Najsłodszemu Sercu P. Jezusa i św. Józefowi za to, że za Ich tylko cudownem błogosławieństwem brat mój zdał maturę; nie miał bowiem najmniejszej nadziei, aby wynik był szczęśliwy, tak iż nawet do egzaminu siadać nie chciał.

Lwów.

Jadwiga Jakubowska.

* * *

Piątego dnia nowenny, mój mąż całkiem się zmienił, co zawdzięczam wstawieniu się dziatwy do Najsłodszego Serca Jezusa...

W. Ks. Poznańskie.

N. N.

* * *

Wywiązując się z danego przyrzeczenia, składam publicznie najpokorniejsze dzięki Najśw. Maryi Pannie, Wspomożeniu Wiernych, za uzdrowienie mi małego synka z ciężkich konwulsyi, które go męczyły przez pół roku co dwa tygodnie; dopiero gdy szczerze ze serca wezwałam pomocy Najświętszej Wspomożycielki Wiernych, i uczyniłam obietnicę, że jeżeli zostanę wysłuchaną, ogłoszę ten cud publicznie i złożę na Mszę św. dziękczynną przed obrazem Wspomożycielki Wiernych, dziecię od tej chwili więcej już konwulsyi nie miało i jest do dziś dnia zupełnie zdrowe. Od czasu obietnicy minęły już dwa lata, a konwulsye nie powtórzyły się już nigdy. Za co niech będzie cześć i chwała Najśw. Wspomożycielce Wiernych. Posyłam 4 korony na Mszę św. dziękczynną przed obrazem Wspomożycielki Wiernych i proszę ażeby na większą chwałę i uwielbienie tej Wszechpotężnej Pani podziękowanie to było ogłoszone w *Wiadomościach Salezyańskich.*

Milatycze (Galicya).

Włodzimira Dorykowa.

Dziękują Najświętszej Maryi Pannie, Wspomożycielce Wiernych, za doznane łaski i przesyłają ofiary na Msze św. lub na cele salezyańskie, a mianowicie na zakład oświęcimski, także następujące osoby:

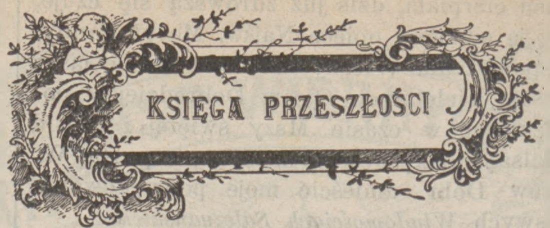
Stanisława Pelesiewiczówna, *Kreców* (Galicya); Rozalia Wolna, *Wydamy* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Anna Hermanowa, *Malawa* (Galicya);

Feliks Hirsch, *Schönberg* (Prusy Zachodnie); Alojzy Kazimierz Niżnikiewicz, *Nadwórna* (Galicya); A. Suczyński z Galicyi; Eufenia Leśnikówna, *Pyskowice* (Górny Śląsk); Anna Dobrzycka, *Tyniec* (Galicya); Anastazya Nalkowa, *Małe Łęki* (Galicya); Marya Andrzejewska, *Iwanie* (Galicya); Adolf Banigo, *Siemianowice* (Górny Śląsk); A. Piasek, *Wronke* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Antoni Kaznowski, *Myślenice* (Galicya); Józef Gromnicki, *Lisko* (Galicya); Klemens Skmina, *Pcim* (Galicya); Józef Kędziora, *Babice* (Galicya); M. Chmielnik, *Turka* (Galicya); Stanisław Przyszlakowski, *Przemyślany* (Galicya); Helena Tetich, *Perepelniki* (Galicya); Franciszek Gwizdała, *Trzebinia* (Galicya); p. Adamik, *Friedenshuta* (Górny Śląsk); Dr. W., *Międzychód* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Franciszka Kamińska, *Nowacerkiew* (Prusy Zachodnie); Stanisław Chojnacki *Połomya* (Galicya); Tomasz i Ludwika Babikowie, *Osielec* (Galicya); R. i B. Adamscy, *Wielki Gaj* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Albina Cogiel, *Siemianowice* (Górny Śląsk); Andrzej Podraza, *Ammendale* (Stany Zjednoczone); Antoni Dworak, *Batenbrock* (Westfalia); Sylwester Witta, *Lubichów* Pusy Zachodnie); Agnieszka Barańska, *Gogolewo* (Prusy Zachodnie); A. Borucińska, *Pleszew* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Albert i Teresa Sobota, *Miechowice* (Górny Śląsk); Władysława Folis, Władysława Wilkówna, *Lubycza kniazie* (Galicya); J. F. *Stryj* (Galicya); Jan Gromadzik, *Szopinice* (Górny Śląsk); Jędrusiakowie, *Pinarowa* (Galicya); Leopold Spirydowicz, *Stara Sól* (Galicya); E. Gaertner, *Międzyrzecz* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Wawrzyn Rozmiarek, *Sława* (Górny Śląsk); Klementyna Nowak, *Stanisławów* (Galicya); Sabina Bylinianka, *Lwów* (Galicya); Antoni i Klara Borkowscy, *Jabłonowo* (Prusy Zachodnie); Rozalia Walkowiak, *Stromiany* (Wielkie Księstwo Poznańskie); Józefa Dulak, *Wensiory* (Prusy Zachodnie); Stanisław Taciak, Poznań; Tomasz Madzur, *Chorostków* (Galicya); Agnieszka Bronder, *Haraszowska* (Górny Śląsk); Alojzy Kolkopf, *Zalesie* (Galicya); T. K. Gołębiewscy, *Szamotuły* (Wielkie Księstwo Poznańskie).

OŚWIADCZENIE.

Niniejszem oświadczamy uroczyście, że w poczuciu zupełnego posłuszeństwa dla dekretów papieskich, a mianowicie w myśl dekretów Ojca św., Urbana VIII., *z 13 marca 1625 i 5 lipca 1634 w sprawie wypadków cudownych, poddajemy całą treść pisma niniejszego wyrokom św. Kościoła katolickiego, i że wszystkim cudom i nadzwyczajnym zdarzeniom, opowiedzianym przez nas w dobrej wierze, o których Kościół św. jeszcze nie zawyrokował, jedynie tylko ludzką przyznajemy wiarogodność, nie wyprzedzając ani przesądzając orzeczeń Stolicy świętej, której zawsze i wszędzie chcemy okazać uległość i posłuszeństwo.*

Redakcya.



Obrazki z życia Małgorzaty Bosko. — Małgorzata czuwała nieustannie nad prowadzeniem się synów. Ten dozór nie był jednak ani niespokojny, ani podejrzliwy, ani dziwaczny, ale taki, jakiego Pan Bóg wymaga, to jest, pilny, roztropny, pełen miłości. Starała się ona usilnie o to, aby uprzyjemnić im towarzystwo swoje i w tym celu stosowała się do owej rady Pawła Apostoła (Efez. VI. 4) „nie pobudzajcie do gniewu synów waszych, ale je wychowujcie w karności i grozie Pańskiej.“

Nie zrażała się ich hałaśliwemi zabawami, owszem sama brała w nich udziałi w razie potrzeby podawała im myśl do nowych rozrywek. Na pytania dziecinne, raz po raz wznawiane, uprzykrzone, nalegające, odpowiadała zawsze z cierpliwością i pozwalała dzieciom wiele mówić, aby tym sposobem poznać wszystkie myśli, które się snuły w ich główkach, i wszystkie uczucia, które się w ich sercach rozwijały. Synowie ujęci tak wielką dobrocią, i ufni bez granic w przezorną miłość matki, która wynajdywała tysiączne sposoby, aby spełnić godnie swoje wzniosłe zadanie, nie mieli dla niej żadnej tajemnicy.

W owych czasach przechowywano jeszcze w piemonckich domach włościańskich jako skarb najdroższy Pismo święte i Żywoty Świętych Pańskich. Wieczorem niedzieli ojciec lub ktoś starszy czytywał z nich ustępy rodzinie swojej zebranej w izbie, na podwórzu, w ogrodzie, albo w altance. Stądto Małgorzata znała mnóstwo przykładów wyjętych z Pisma św. albo z żywotów Świętych o karach, które zsyła Pan Bóg na dzieci nieposłuszne, i o nagrodach, jakiemi darzy dzieci dobre. Przykłady te przytaczała często swoim synom, a umiała je opowiadać tak zręcznie i mile, że słuchali jej z natężoną uwagą. W szczególniejszy sposób umiała opisywać młodociany wiek Boskiego Zbawiciela, jak był zawsze poddany swej matce, i przedstawiała go dzieciom swoim jako skończony wzór pokory.

Znane jest zamiłowanie dzieci do opowiadań; wrażenie, jakie one wywierają na ich duszy, są niezatarte. Przez te wabiące historyjki owładnęła Małgorzata wolę synów swoich do tego stopnia, iż najlżejsze jej skinienie lub słowo znajdowało u nich ochotny posłuch. Jeżeli potrzebowała jakiej drobnej usługi, naprzykład, przynieść drzewa, naczerpać wody, dać trawy albo słomy bydlętom, zamieść pomieszkanie, to wystarczało skinąć na jednego, aby pobiegł zaraz i drugi.

Wychodzenie z domu i zawiązywanie stosunków ze znajomymi, bez jej wyraźnego zezwolenia, były to rzeczy stanowczo zabronione. Niejednemu ojcu, niejednej matce zdawałoby się rzeczą bardzo trudną, wprowadzić taką karność w rodzinę, a Małgorzata wymogła to bez trudności. Czasami przychodziły dzieci z sąsiedztwa.

— ,,Mamo, pytały zaraz dzieci, czy możemy się z nimi bawić?" Jeżeli matka powiadała: ,,tak", to ucieszone biegły na wzgorze do ulubionej zabawy. Czasami odpowiadała poważnie, że nie mogą iść, a wtedy nie śmiały pokazać się nawet na próg domu; zadowolone, szczęśliwe, bawiły się w mieszkaniu. Niekiedy mamusia szła do pracy na rolę. Sąsiedni chłopcy przybiegali do domku i zdziwione tem, że dzieci Małgorzaty w dzień tak pogodny spokojnie w domu siedzą, wabiły ich na podwórze. Ale posłuszni synowie Małgorzaty, pomni na zakaz matki, odpowiadali: ,,Nie pójdziemy, nie chcemy zrobić mamie przykrości."

Nauczywszy ich ochotnego posłuszeństwa, mogła matka być spokojna nawet wtedy, kiedy z powodu potrzeb rodzinnych musiała wydalać się z domu, chodzić do okolicznych miast na targi i jarmarki. Lecz zbyt drogą była dla niej ich niewinność, wiedziała bowiem dobrze, iż najlżejszy powiew świata może ją skazić, zwłaszcza kiedy dzieci przez dłuższy czas pozostają bez dozoru. Dlatego przy odejściu dawała dzieciom szczególniejsze upomnienia, potem na babkę przelewała całą swą władzę macierzyńską, prosząc ją usilnie, aby ich ani na chwilę z oka nie spuszczała.

Chłopaczki, unikając wszystkiego, cokolwiek mogło się nie podobać mamie, oczekiwali z utęsknieniem jej powrotu, zwłaszcza że obiecywały sobie jako nagrodę, kawałek kołacza. Dla dzieci tego wieku i tego stanu, dla dzieci wychowywanych tak po prostu i pobożnie, była to nagroda bardzo wielka. Przeto wychodziły na szczyt wzgórza i wyglądały godzinami na mamę; a kiedy wieczorem mama strudzona, zlana potem, zabielona kurzem, ukazywała się w dali na wijącej się ścieżce, która prowadziła do ich chaty, biegły na jej spotkanie i okrążywszy ją, wołały: ,,Chleba święconego! chleba święconego!" Małgorzata zwalniała kroku i uśmiechając się, mawiała: ,,Cóż tak nagłego! Nic się nie pali! Poczekajcież trochę! Więcej cierpliwości! Dozwólcie mi pierw zdążyć do domu i złożyć z siebie ten ciężki tłomok; zmiłujcie się przecież, pozwólcie mi cokolwiek odetchnąć. — A one podskakując z radości, ciągnęły za nią do kuchni. Małgorzata siadała i wydobywała święcony chleb z koszyka a dzieci wołały: ,,Mnie, mnie!" A mama:

— Cicho, powoli; dam wam tego chleba, lecz pierwej musicie mi opowiedzieć, jakeście spędziły dzień dzisiejszy. — Tak n. p. pytała się jednego:

— Czyś był w onej chacie, jakem ci poleciła, aby prosić o ten sprzęt lub ową rzecz? Co ci tam powiedziano? A ty jak odpowiedziałeś? Potem do drugiego mówiła:

— Czyś się sprawił z onego polecenia, którem ci dała, na wypadek gdyby przyszła do naszego domu owa poczciwa sąsiadka? A w jaki sposób się sprawiłeś? — A potem pytała wszystkich:

— Czy babka nie żądała od was jakiej przysługi? Czyście ją chętnie słuchali. Czy nie musiała was gromić? A z dzieci sąsiednich nie odwiedziło was które? I coście z niemi porabiali? Czemeście się zajmowali cały dzień? Czy była zawsze między wami zgoda? Czyście odmówili *Anioł Pański* na południe?

W ten sposób musieli się z matką rachować z użycia czasu, z swoich myśli, słów i postępków. Wśród tej rozmowy dzieci opowiadały swoje przygody onego dnia z najdrobniejszymi szczegółami; a poczciwa matka zawsze pogodna i serdeczna, do każdej niemal odpowiedzi przydawała jakąś uwagę, która miała na przyszłość służyć jako prawidło i wskazówka.

— ,,Tak jest! Doskonale!" mówiła do jednego, ,,pięknieś powiedział."

— ,,Więcej cierpliwości! należy być grzeczniejszym chłopcem!" odpowiadała drugiemu.

— ,,Źleś sobie postąpił!" mówiła znowu inną razą. ,,Nie widzisz, że to kłamstwo, którem się Pan Bóg brzydzi?" Gdy się dowiedziała, iż byli posłuszni, mówiła:

— ,,Jestem zadowolona. Szanujcie babkę a Pan Bóg wam to wynagrodzi.

Mając zawsze oczy zwrócone na prawo Boskie, jako na najwyższą regułę swych czynów, Małgorzata wskazywała tę samą regułę i dzieciom, nauczała ich w szczególności posłuszeństwa, podległości, obyczajności.

Po tych napomnieniach i pochwałach dawała im nareszcie po kawałku chleba święconego, który spożywano natychmiast, zrobiwszy najprzód poważnie znak krzyża świętego.

W podobny sposób wypytywała synów ilekroć po dłuższej nieobecności z nimi się stykała. Kilka godzin po za domem spędzonych, bez widzenia dzieci, już niepokoiły matkę: nawet kiedy które z nich na jakiś czas z domu się oddaliło, już wszczynała swe pytania i dochodziła jego postępowania.

Niejedna stąd powstała rada, która jakoś sama przez się na usta przychodziła. Tak postępowała z nimi, dopóki nie wyszli na ludzi dojrzałych. Synowie zaś, tym trybem wychowani, byli obyczajni, dobrze ułożeni i oględni na świat, baczni na siebie i na swe uczynki, a jeśli kiedy popadali w jaką lekkomyślność, sami to zaraz spostrzegali, przyznawali się do winy i przyrzekali być baczniejsi na przyszłość.



Pies księdza Bosko.

W pierwszych czasach Oratoryum turyńskiego dzielnica Valdocco nie była tak zaludniona jak dzisiaj. Rzadkie domy gdzie niegdzie rozrzucone a puste pola pokryte krzakami, oddzielały Oratoryum od ostatnich domów miejskich. To też gdy za nadejściem nocy ksiądz Bosko nie wracał, wszyscy byli mocno zaniepokojeni. Musiał przechodzić przez miejsca puste, sprzyjące napadom, a wiedziano dobrze, że byli zbrodniarze, którzy przysięgli sobie pozbawić go życia. Błagano go o zachowanie ostróżności, ale gdy szło o wykonanie jego świętego posłannictwa lub o korzyść dzieci, nic nie potrafiło go wstrzymać.

***

Pewnego późnego wieczoru, gdy wracał nie bez pewnej obawy i przyspieszając kroku, znienacka zobaczył ogromnego szarego psa u swego boku. Przestraszył się w pierwszej chwili. Ale wkrótce się uspokoił, gdy to piękne zwierzę zaczęło się łasić i stosować swój krok do jego kroku. Towarzyszył mu ten pies do Oratoryum, poczem zniknął. Od tego dnia, gdy ks. Bosko, zatrzymany dłużej w mieście, wracał w nocy do domu, skoro tylko wychodził z po za ostatnich domów zamieszkałych, pies zjawiał się natychmiast i odprowadzał go aż do Orat ryum. Ks. Bosko w krótkim czasie zaprzyjaźnił się z tym wiernym i nieocenionym towarzyszem, którego nazywał *il grigio* (szarym) z powodu barwy jego sierci.

***

Pewnego wieczoru powracał bardzo późno do Oratoryum. Niebo było pokryte czarnemi chmurami. Ażeby się zbytnio nie oddalać od miejsc zamieszkanych, szedł drogą, która prowadzi od *Consolata* po szpitala Cottolengo. Dwóch mężczyzn, którzy od niejakiego czasu szli za nim, napadło nagle na niego. Jeden z nich zarzuca mu płaszcz na głowę, a drugi zatyka mu ręką usta, dla przytłumienia krzyków. Ks. Bosko czuł, że jest zgubiony gdy wtem daje się słyszeć tak przeraźliwe szczekanie, iż można było sądzić, iż to dziki lew nadbiega z puszczy. W chwilę później *szary* rzuca się na napastników z taką siłą, że ich powala w mgnieniu oka na ziemię jednego po drugim. Ks. Bosko korzysta z chwili, ażeby zrzucić z siebie płaszcz, który go dusił i widzi, że jeden ze złoczyńców ucieka ile mu sił starczy, a drugi, trzymany przez psa, leży na ziemi w najkrytyczniejszem położeniu.

— Panie, panie! zawołaj swego psa — błagał nędznik — on mnie udusi.

— Zawołam go, jeśli mi przyrzekniesz, że na przyszłość się poprawisz.

— Z pewnością obiecuję, ale zawołaj pan psa.

Ksiądz przywołuje do siebie psa i *szary* natychmiast puszcza łotra, który nie mówiąc ani słowa, ucieka co tchu.

***

Innego znowu wieczoru ks. Bosko powracał przez *Corso San Massimo*. Zbójca schowany za drzewem strzelił dwa razy do niego z pistoletu, ale po dwakroć spaliło mu się na panewce. Rzucił się wtedy na ks. Bosko, aby mu zadać cios śmiertelny w inny sposób. Ale równocześnie nadbiegł szary, skoczył z wściekłością na napastnika, wywrócił go i zmusił do ucieczki, poczem odprowadził ks. Bosko do Oratoryum.

***

Innym znowu zazem ten wierny pies wyratował księdza Bosko nie od jego lub dwóch zbrodniarzy, ale od całej gromady. Działo się to w nocy, Ks. Bosko powracał drogą, która prowadzi z placu Emanuela Filiberta do Rondo, gdy nagle napadł na niego jakiś drab uzbrojany w ogromną pałkę. Miejsce było puste, ks. Bosko szukał ocalenia w ucieczce, ale złoczyńca go dogonił. Podnosił już swą pałkę, aby nią uderzyć, gdy ks. Bosko, broniąc się wobec niebezpieczeństwa życia, zadał mu tak silny raz w brzuch, że ten przewrócił się i ryczał przeraźliwym głosem: *Ahi, ahi! che son morto* (jestem zabity). Ks. Bosko myślał, że jest wybawiony, gdy w tem ze wszech stron nadbiegają z za krzaków i otaczają go złoczyńcy uzbrojeni w kije. Wszelki opór był niemożliwy. W tej krytycznej chwili, straszne szczekanie zapowiada przybycie *szarego*, który z szybkością błyskawicy zaczyna biegać na około księdza, aby stawić czoło napastnikom. Tak straszliwie ujadał i pokazywał im swoje ogromne zęby, że zbóje jeden po drugim zniknęli w ciemnej głębi, a ks. Bosko mógł powrócić zdrów do domu.

***

Pewnego wieczoru ks. Bosko zabierał się do wyjścia. Ponieważ pora była późna, matusia Małgorzata chciała go zatrzymać w domu, ale perswazye jej były bezskuteczne. Otwierając drzwi, widzi ks. Bosko psa leżącego nieruchomie wzdłuż progu. Trąca go lekko nogą, ale pies groźnie tylko warczy, nie ruszając się wcale.

— Widzisz, mój synu, mówi matusia Małgorzata, że ten pies jest rozsądniejszy od ciebie. Usłuchaj przynajmniej jego rady i nie wychodź. Dwa razy próbował ks. Bosko wyjść, ale widząc zachowanie się psa i słysząc jego znaczące warczenie, powrócił do swego pokoiku. W kwadrans później przybiega jakiś sąsiad do ks. Bosko, aby go ostrzedz, żeby się miał na baczności, a szczególnie, aby nie wychodził. Opowiadał, iż widział zaczajonych w wąziutkiej uliczce czterech drabów i słyszał jak mówili, iż tym razem muszą koniecznie zabić księdza Bosko.

zdarzyło się, że markiz Fassati odwiózł go w swoim powozie daleko wcześniej, niż przypuszczano. *Szary* chciał się zapewno przekonać, czy ks. Bosko już w domu.

***

Jesienią 1866 r. ks. Bosko jeszcze raz zobaczył swego wiernego stróża. Był wtedy w Murialdo di Castelnuovo, i miał się udać do Moncucco, gdzie mieszkał jeden z jego przyjaciół. Zaskoczyła go noc, a potrzebował przechodzić przez lasy niezbyt bezpieczne.



Szary Księdza Bosko.

***

Znowu kiedyś wieczorem zjawia się pies na podwórzu Oratoryum. Chciano go wypędzić, ale jeden z młodzieży zawołał, że to pies ks. Bosko. Dzieci zaczęły się nim bawić, jedne powłaziły na niego, drugie ciągnęły go za uszy i tak poprowadziły do refektarza, gdzie ks. Bosko wieczerzał z kilku księżmi.

— Szary! zawołał ks. Bosko i pies przyszedł dać się pogłaskać. Poważnie obszedł potem stół dokoła; kilka osób a nawet sam ks. Bosko dawali mu chleba, mięsa, ale nic nie przyjął. Nokoniec położył swoją dużą paszczę na krawędzi stołu, patrząc na ks. Bosko, jak gdyby chciał mu życzyć dobrej nocy.

— Ponieważ nic jeść nie chcesz, rzekł ks. Bosko, to zostaw nas, i pies odszedł, poprowadzony do drzwi przez jednego z młodych ludzi. Niezadługo zrozumiano dlaczego pies przyszedł tego wieczoru. Ks. Bosko miał późną nocą do domu wrócić: ale

— Ach, gdybym miał teraz mego *szarego*, wyrwało mu się mimowoli z ust. W tejże chwili pies znalazł się przy nim, odprowadził go na miejsce i jeśli nie potrzebował bronić ks. Bosko od napaści, nie mniejszą oddał mu usługę, oswabadzając go od dwóch ogromnych brytanów, strzegących winnic. Wspominano potem, iż były bardzo niebezpieczne dla przechodniów. W istocie rzuciły się na niego, ale szary tak ich poturbował, że uciekły, wyjąc z bolu. Gdy ks. Bosko przyszedł do przyjaciela, wszyscy obecni zaczęli się unosić nad pięknością psa.

— Jakiego pięknego masz psa! Nie widzieliśmy go u ciebie. Prześlicznej rasy! Podawano mu różne przysmaki, ale niczego nie chciał skosztować.

***

Kilku młodych kleryków, zaciekawionych wstrętem psa do wszelkiej żywności, pastonowiło zamknąć go w pokoju.

— Gdy się wypości przez dwanaście godzin

będzie zmuszony wziąć się do podanego mu mięsa, mówili między sobą. Nazajutrz pospieszyli wypiścić więźnia. Ale pies znikł ku wielkiemu zdumieniu wszystkich, gdyż drzwi i okna były pozamykane. Nie dowiedziano się nigdy, skąd przychodził ten pies, ani też dokąd odchodził po wyświadczonej przysłudze.

⁂

Ten legendowy opiekun ks. Bosko, po siedmnastoletniem zniknięciu, pokazał się w sposób zupełnie nieoczekiwany 12go lutego 1883 r. Ks. Bosko przyjechał z żyjącym jeszcze Przew. ks. Durando ostatnim pociągiem do Bordighiera. Nikt na nich nie czekał, i nie było nikogo, by ich odwiózł, do oddalonego zakładu. Ks. Bosko nieraz odbywał tę podróż, ale w dzień i w powozie; ks. Durando, zaś wcale drogi nie znał. Zresztą trudno się było oryentować, gdyż noc była nader ciemna. Na domiar złego drogi po ulewnych deszczach były w najgorszym stanie. Pomimo to obaj puścili się odważnie w drogę. Z początku wszystko szło jak najlepiej; ale gdy wyszli za ostatnie domy, agarnęły ich takie ciemności, że zabłądzili. Ks. Durando zozpaczliwe czynił wysilenia, aby znaleźć drogę i mówił co chwila:

— Tędy, ojcze, tędy. I prowadził swego dobrego ojca na jakieś miejsce jaśniejszę, które wydawało mu się drogą, ale ks. Bosko, który z całą ufnością szedł naprzód, wpadł po kolana w kałuże. Biedny ks. Durando wydał jęk bolesny ale przestrach jego wzmógł się na widok ogromnego psa, który się tej chwili ukazał:

— Ostróżnie, ojcze, co za szkaradne zwierze.

Ale ks. Bosko poznał swojego wiernego *szarego*. Pocziwe psisko wyrażało na swój sposób wielkie zadowolenie, wywijało ogonem, poszczekiwało, biegało około ks. Bosko, wskazując wyraźnie, któręky iść należało. Ks. Bosko szedł bez wachania się za swoim *szarym*, a ks. Durando, który nie czuł sie znowu tak pewnym, zdziwił się ogromnie, gdy idąc za tym przewodnikiem szczególniejszego rodzaju, znalazł się wkrótce na dobrej drodze. Pies odprowadził ich do drzwi domu, do którego zdążali i znikł dopiero wtedy, gdy się przekonał, że już do niego weszli.

Od owego wieczoru nikt już nie widział *szarego*, wiernego psa księdza Bosko.





PIERWSZE

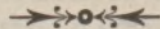
DWUDZIESTOPIĘCIOLECIE

ORATORYUM SALEZYAŃSKIEGO,

założonego przez

X. Jana Bosko.

Napisał X. Jan Bonetti.



Rozdział XXXI.

(*Ciąg dalszy*).

„Wśród domostw (są jego słowa), które z obu stron oskrzydlały prochownię, najbliższym był budynek dwupiętrowy, położony w odległości 80ciu metrów. Dom ten zwał się Nazaretem. Na parterze mieściło się przeszło dwadzieścia biednych obłąkanych, na piętrze zaś około trzydziestu chłopców, cierpiących na choroby chroniczne, w wieku od 4 do 9 lat. Sufit i całe belkowanie dachowe oparte było na filarze, stojącym w pośrodku obszernej izby; nad owym filarem i dachem wznosiła się kolumna terabatowa a na niej stała statua Niepokalanej Dziewicy, wykuta z zwyczajnego piaskowcu, wewnątrz pusta, przeszło metr wysoka, z koroną o dwunastu gwiazdach na głowie. Rzekłbyś, że Najśw. Matka stała tam na straży Domku *(Piccola Casa)*, aby dyktować prawa przyrodzie a klęsce wskazywać drogi i granice. Wyleciały w powietrze dwa magazyny w tak niewielkiej odległości z długim i strasznym szeregiem następstw, zerwała się gwałtowna burza pocisków wszelkiego rodzaju i wielkości na skromny dom Nazaretu, którego mieszkańców wielce przestraszyła — kolumna nosi znaki, jakie zostawiły uderzające o nią pociski, sama jednak statua Najśw. Dziewicy, stoi cała i niewzruszona z koroną na głowie, jakby w swojej podstawie z lekka palcem tylko poruszona została. Jakże więc nie uznać opieki ukochanej Obronicielki, nie uczcić Jej i nie złożyć dzięków? Cały dach runął i w części upadł na sufit, ten zaś łącznie

z połamanemi belkami i dachówką potłuczoną wcisnął się do izby, w której były zgromadzone wszystkie dzieci, jedne w łóżeczkach i kolebkach, drugie na swoich siedzeniach, inne na nogach. Sądzićby należało, że żadne albo mało które z nich ocalała wśród tak powszechnego zniszczenia. Tego też zdania byli opiekunowie owych dziatek. Przybiegli zatem czemprędzej na miejsce wypadku, aby przyjść z pomocą siostrom infirmerkom. Z łaski atoli Najśw. Matki ani jedno z owych dzieci nie było pozbawione Jej macierzyńskiej opieki i pieczołowitości: w chwili pierwszego wybuchu dzieci żwawsze rzuciły się do drzwi, inne zaś, nie mogące prędko chodzić albo leżące w łóżeczkach, wszystkie w niewyjaśnio ny sposób ocalały, nie odnosząc najmniejszego szwanku. Co prawda, jedna kolebka z dzieckiem zupełnie się wywróciła, ale ta okoliczność właśnie posłużyła, że nie zostało zabite przez padające dachówki i rozmaite ułamki. Wzruszająca to była scena, gdy dzieci te wśród powszechnego krzyku i jęku wołały: „Matko Boska! przebacz nam, przebacz! Będziemy odtąd grzeczne, będziemy grzeczne!" Dotąd słowa księdza Anglesio *).

Opowiedziane fakta a szczególnie słaba kolumna stojąca wysoko nad zwaliskami, były sprawami tak dziwnemi i przeciwnemi prawom przyrodzonym, że nawet żydzi, którzy tam dla ciekawości przychodzili, byli tego zdania, iż znajdują sie wobec prawdziwego cudu. Następnego dnia jakiś człowiek bezbożny chodził w tych stronach miasta i bluźnił przeciwko Panu Bogu z powodu tego nieszczęścia; stanąwszy jednak przed statuą Najśw. Panny, zamilkł, gdy spostrzegł, że ona stoi nietknięta a nawet koronę ma na głowie. Utkwił w niej wzrok a następnie, odchodząc, rzekł: „Tu musi być jakaś sprawa dyabelska! Przecież to zostać nie mogło!" Płaczemy nad zaślepieniem tego nieszczęśliwego człowieka i mówimy ze gdyby szatan posiadał odpowiednią władzę, nie tylkoby potłukł obrazy Najśw. Dziewicy, ale zepchnałby Ją nawet z tronu, jaki w niebie zajmuje. Niema żadnej wątpliwości, że ta słaba statua, otoczona zewsząd gruzami, była znakiem widocznym niewidomej obecności Maryi; ukochana Matka czuwała nad swemi dziećmi, czuwała nad Turynem, chroniąc go od zupełnej zagłady.

Najśw. Bogarodzica nie ograniczyła się na ocaleniu Turynu powyżej opisanymi faktami, ponieważ w wielu innych miejscach, wystawionych również na wielkie niebezpieczeństwo, raczyła okazać swoją opiekę macierzyńską. W klasztorze Magdalenek, oddalonym od prochowni na 400 metrów, w szpitalu św. Filomeny i w przyległej ochronie, w trzech zakładach margrabiny Barolo, było ocalonych około 500 sióstr i dziewcząt, zdrowych i chorych: ani jedna z nich nie była zraniona. Na murze szpitalika widziano ślady uderzających pocisków, na klasztor Magdalenek padł między innemi głaz wagi 100 kilogramów i jeszcze dzisiaj można widzieć szafę pełną kamieni, klamer żelaznych i innych przedmiotów, które spadły na ich gmach i dostały się nawet do cel i korytarzów, ale ani jedna z przeszło stu zakonnic nie była niemi skaleczona. W infirmeryi znajdowały się dwie siostry chore, które od dłuższego czasu nie wstawały z łóżka. W dniu wypadku około godziny jedenastej przed południem prosiły, aby mogły wstać i odetchnąć w ogrodzie świeżem powietrzem; przełożona, mimo zwykłej odmowy, na to zezwoliła. Otóż ledwie chore zakonnice wyszły, wielka belka spadła na dach infirmeryi, przebiła go i wpadła z taką siła, że dopiero co opuszczone łóżka zupełnie zgniótła. Gdy następnie Magdalenki z wielkim smutkiem zaczęły opuszczać furtę klasztorną, w celu wyszukania bezpiecznego schronienia, spostrzegły, że biały gołąbek unosił się nad klasztorem i spoczął na jego dachu. Wzięły to za dobrą wróżbę i mówiły do siebie: „Jeżeli gołąbek stąd odleci i my pójdziemy; jeżeli zaś nie, to zostaniemy na miejscu." Ptak pozostał na dachu aż do godziny czwartej po południu, t. j. do chwili, kiedy posłaniec rządowy uwiadomił, że minęło wszelkie niebezpieczeństwo nowych wybuchów.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).



*) *Le meraviglie della Divina Provvidenza nella Piccola Casa ecc. per l'intercessione della SS. Vergine.* Torino, presso il Cav. Pietro Marietti, 1877.

NEKROLOG

ZMARLI POMOCNICY.

Ziemie Polskie.



Bardura Józefa, — *Buk*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Bielowa Katarzyna, — *Grobla*, Galicya.
Budyś Jacenty, — *Płaszów*, Galicya.
Burek Józefa, — *Karf*, Górny Śląsk.
Firowska Alojza, — *Melsztyn*, Galicya.
Gaczka Franciszka, — *Mała Nowawieś*, Górny Śląsk.
Jaworek Jan, — *Zaborze*, Górny Śląsk.
Karbowska Marya, — *Bilka szlachecka*, Galicya.
Karłowska Aniela, — Poznań.
Kensy Jan, — *Mikulczyce*, Górny Śląsk.
X. Klima Bartłomiej, — *Głębowice*, Galicya.
X. Kozielski Mikołaj, — *Parchanie*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Kozub Anna, *Kraków*, Galicya.
Lipińska Barbara, *Mszana dolna*, Galicya.
Machlińska Józefina, — *Lubicki*, Prusy Zachodnie.
Madejski Feliks, — *Miechowice*, Górny Śląsk.
Majewska Małgorzata, — *Berlin*, Prusy.
Olejarczyk Teodor, — *Chorzów*, Górny Śląsk.
Piciński Jan, — *Jarosław*, Galicya.
Pietrek Wincenty, — *Miechowice*, Górny Śląsk.
Płachta Alexander, — *Proków*, Galicya.
Pocięgiel Jakób, — *Bierzanów*, Galicya.
X. Pragłowski Konstanty, — *Łączki*, Galicya.
Rauchut Antonia, — *Lichtenthal*, Prusy Zachodnie.
Rybicka Katarzyna, — *Chicago*, Północna Ameryka.
Sąsala Klemens, — *Miechowice*, Górny Śląsk.
Siba Stanisław, — *Jaworzno*, Galicya.
X. Sierzęga Franciszek, — *Przeworsk*, Galicya.
Skowronek Franciszek, — *Gonisław*, Górny Śląsk.
Słowik Franciszek, — *Zawodzie*, Górny Śląsk.
Sodolski Jan, — *Utica*, Północna Ameryka.
Sośnierz Antonia, — *Mysłowice*, Górny Śląsk.
Śpiewak R., — *Taborzyska*, Galicya.
Stankowak Michał, — *Berlin*, Prusy.
Stefanoska Anna, — *Kraków*, Galicya.
X. Stokłosiński Stefan — *Leszczawa dolna*, Galicya.
Sulik Jan, — *Kra owo*, Górny Śląsk.
Świder K., — *Laurahuta*, Górny Śląsk.
Świdrowa Katarzyna, — *Sadzawka*, Górny Śląsk.
Świerzy Ignacy, Monsignor, prezes „Macierzy Polskiej“, — *Cieszyn*, Śląsk Austryacki.
Szarafin Franciszka, — *Lubicki*, Prusy Zachodnie.
Szczepaniak Wojciech, — *Ueiechów*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
X. Szkocki Kazimierz, — *Trześniów*, Galicya.
Szókalska Anna, — *Dobrzyca*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Szperkowski Antoni, — *Mogilno*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Sztacek Wojciech, — *Siemianowice*, Górny Śląsk.
Sztackowa Elżbieta, — *Siemianowice*, Górny Śląsk.
Walczakowa Apolonia, — *Jedlec*, Wielkie Księstwo Poznańskie.
Wengerek Antoni, — *Miechowice*, Górny Śląsk.
Wilczek Walenty, — *Bogumiłowice*, Galicya.
Zimprych Jan, *Podgórze*, Galicya.



Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Amen.

Za pozwoleniem władzy duchownej — Redaktor odpowiedzialny: Józef GAMBINO. — Drukarnia salezyańska. Turyn, 1902.

USTAWY

DLA

Pomocników salezyańskich.

I.

Łączność chrześcijan w celach dobrych jest niezbędną.

Od dawien dawna uznano za rzecz konieczną łączenie się ludzi dobrej woli celem wzajemnego wspierania się, bądź w spełnianiu dobrych uczynków, bądź w odpieraniu złego. Tak czynili chrześcijanie pierwszych wieków, stanowiąc między sobą niejako jedno serce i jedną duszę. Niebezpieczeństwami, na jakie codziennie byli wystawieni, bynajmniej się nie zrażali, lecz owszem zachęcali jedni drugich do trwania mocno przy wierze i do gotowości dawania mężnego odporu przeciwnościom, jakie im ustawicznie groziły. Sam Pan uczy nas tej prawdy gdy mówi: że i siły najsłabsze w połączeniu stają się mocnemi, a jeśli sznurek pojedynczo wzięty łatwo jest przerwać, to bardzo trudno przyjdzie rozerwać trzy społem złączone: *Vis unita fortior, funiculus triplex difficile rumpitur.* Tak zresztą zwykli czynić ludzie świeccy w swych doczesnych zabiegach. Czyż synowie światłości mają być mniej roztropni od synów ciemności? Z pewnością, że nie. My chrześcijanie powinniśmy się łączyć w tych ciężkich czasach, ażeby krzewić ducha modlitwy i miłości bliźniego za pomocą wszelkich środków, jakie nam wiara nasza święta podaje, aby tym sposobem złe, jeżeli nie odwrócić, to przynajmniej zmniejszyć, ono złe, które godzi na niewinność i obyczaje dorastającej młodzieży, na której spoczywa przyszłość całego społeczeństwa.

II.

Zgromadzenie salezyańskie jest taką spójnią łączącą.

Zgromadzenie to, ostatecznie przez Kościół zatwierdzone, może służyć za pewny i trwały łącznik dla Pomocników salezyańskich. Jakoż postawiło ono sobie za główne zadanie: pracować dla dobra młodzieży, od której zależy dobra lub też smutna przyszłość społeczeństwa. Przez te słowa nie myślimy bynajmniej twierdzić, jakoby to był jedyny środek dla zapobieżenia tak wielkiej i powszechnej potrzebie: owszem, jest ich wiele innych, których użycie gorąco polecamy. My tylko z naszej strony przedkładamy jeden środek więcej, a tym jest *Związek Pomocników salezyańskich*; innemi słowy: zwracamy się z usilną prośbą do wszystkich dobrych katolików żyjących na świecie, ażeby przyszli w pomoc członkom Zgromadzenia salezyańskiego. Prawda, że ich liczba jest już wcale poważna, ale daleko nam jeszcze do tego, ażebyśmy mogli nastarczyć prośbom, jakie nieledwie codziennie otrzymujemy z różnych stron, nietylko z Włoch, ale z całej Europy, z Chin, Australii, Ameryki, a szczególnie z Rzeczypospolitej Argentyńskiej. Zewsząd nadchodzą prośby o kapłanów, którzyby się zajęli pieczą nad młodzieżą, na groźne niebezpieczeństwa narażoną; nadchodzą prośby, ażebyśmy otwierali domy, zakładali kolegia, rozpoczęli a przynajmniej popierali misye, które z utęsknieniem wyczekiwują pracowników ewangelicznych. Otóż aby podołać tylu potrzebom, oglądamy się za Pomocnikami.

III.

Zadanie Pomocników salezyańskich.

Głównem zadaniem Pomocników salezyańskich jest: dążenie do własnego udoskonalenia się za pomocą takiego sposobu życia, któryby ile możności zbliżał się do życia wspólnego. Wielu jest wiernych, którzyby chętnie porzucili świat i wstąpili do klasztoru, ale bądź dla wieku, bądź z powodu zdrowia, bądź ze względu na obowiązki stanu, bądź z innych ważnych przyczyn, nie mogą tego wykonać. Owoż tacy właśnie stając się Pomocnikami salezyańskimi, mogą pozostać przy swych zwyczajnych zatrudnieniach, prowadzić dalej życie na łonie własnej rodziny jak przedtem, a mimo to żyć, jak gdyby rzeczywiście należeli do Zgromadzenia. Stąd Ojciec Św. Pius IX *Związek* ten kładzie na równi z Trzecim zakonem dawniejszych

zgromadzeń zakonnych; z tą wszelako różnicą, że kiedy tamte mają na celu dążenie do udoskonalenia się przez ćwiczenie się w pobożności, — naszego zadaniem głównem jest: życie czynne za pomocą uczynków miłosiernych co do bliźnich a szczególnie co do młodzieży opuszczonej, a przez to wystawionej na ciągłe niebezpieczeństwa.

IV.

Sposób działania.

Pomocnicy salezyańscy powołani są do tej samej pracy co Zgromadzenie św. Franciszka Salezego, z którem stoją w ścisłym związku.

1. Mają starać się o urządzanie dziewięciodniowych i trzydniowych nabożeństw, ćwiczeń duchownych i katechizacyi tam osobliwie, gdzie brak ku temu środków materyalnych i moralnych.
2. Ponieważ w naszych czasach dotkliwie się uczuwać daje brak powołań do stanu duchownego, przeto ci Pomocnicy, którzy mają ku temu środki, zajmą się przedewszystkiem tymi chłopcami i młodzieńcami, którzy przez swoje zalety moralne i uzdolnienie umysłowe okażą powołanie duchowne, wspierając ich radą i ułatwiając im wstęp do szkół, gimnazyów lub seminaryów, gdzieby się mogli kształcić i celu swego dopiąć. *Związek Najśw. Maryi Panny, Wspomożenia Wiernych*, właśnie w tym celu jest założony.
3. Mają przeciwstawić dobrą prasę prasie bezbożnej za pomocą rozszerzania dobrych książek, pisemek i druków różnego rodzaju, rozpowszechniając je w tych miejscach i w tych rodzinach, gdzie to uznają za stósowne.
4. Nakoniec mają pełnić uczynki miłosierdzia względem dzieci, na niechybną zgubę duszy wystawionych, je zbierać, uczyć zasad wiary św., zachęcać do chodzenia do kościoła, wspierać radą w razach jakiegoś niebezpieczeństwa, prowadzić je tam, gdzieby mogły pobierać naukę religii — oto nowe pole do działania dla Pomocników salezyańskich. Ktoby nie był w możności dopełnić sam przez się któregokolwiek z tych dobrych uczynków, mógłby to przez drugich uczynić, zachęcając np. którego ze swych krewnych albo przyjaciół, żeby go w tem wyręczył.

   Wszystko to, co się powiedziało o chłopcach zaniedbanych i pod względem duchownym na niebezpieczeństwa wystawionych, odnosi się także do dziewcząt, w podobnem położeniu będących.
5. Można być jeszcze Pomocnikiem przez to, że się dopomaga modlitwą lub dostarczaniem środków materyalnych wszędzie tam, gdzie tego potrzeba zachodzi, na wzór pierwszych chrześcijan, którzy znosili swoje mienie do stóp Apostołów ku niesieniu ulgi wdowom, sierotom, i na inne pilne potrzeby.

V.

Ustrój wewnętrzny i zarząd Związku.

1. Ktokolwiek liczy 16 lat skończonych, może zostać Pomocnikiem salezyańskim, byle miał mocne postanowienie, stósować się do przepisów stowarzyszenia.
2. Związek poleca się pokornie łaskawości i opiece Ojca Św., Biskupów i Proboszczy, od których *zupełnie* zawisły będzie we wszystkich tych sprawach, które się odnoszą do religii.
3. Przełożony główny Zgromadzenia salezyańskiego jest zarazem przełożonym tegoż Związku.
4. Dyrektor każdego domu Zgromadzenia jest upoważniony do zapisywania zgłaszających się nowych członków; ich imiona, nazwiska i miejsce zamieszkania przesyłają się następnie Przełożonemu głównemu, który to wszystko w ogólnym spisie umieści.
5. W miastach, miasteczkach i po wsiach, w których Zgromadzenie salezyańskie nie posiada żadnego domu, a które liczyć będą przynajmniej dziesięciu stowarzyszonych, zamianuje się przewodniczącego, zwanego *Dekuryonem*, przy czem pierwszeństwo dawać się będzie kapłanowi, a w braku tegoż, osobie świeckiej, powszechnie szanowanej. *Dekuryon* znosić się będzie z Przełożonym głównym albo z dyrektorem najbliższego domu.

(*Ciąg dalszy nastąpi*).